

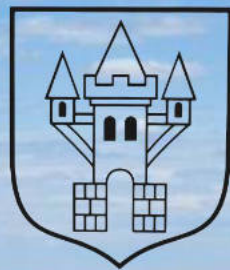
Gazeta Sremska

05/06/2023
ISSN 1232-7476
dwumiesięcznik
maj/czerwiec
XXXIII
cena 5 zł





ŚREM 770 LAT



**UROCZYSTA SESJA
RADY MIEJSKIEJ**

**NADANIE I POŚWIĘCENIE
SZTANDARU GMINY ŚREM**

**WYSTAWA „HERBY ŚREMU”
WYKŁAD PROF. PIOTRA POKORY**

**KONCERT ORKIESTRY DĘTEJ
TOWARZYSTWA MUZYCZNEGO
IM. MARIANA ZIELIŃSKIEGO**

**14 | 06 | 2023 | G. 17.00
MUZEUM ŚREMSKIE**



Nasze wyjątkowe miejsce na ziemi

W tym roku obchodzimy 770. rocznicę pierwszej lokacji Śremu. Refleksjami na temat tego wydarzenia dzieli się dyrektor Muzeum Śremskiego, Mariusz Kondziela.

str. 02



Zakład dla Dziewcząt Chorych na Jaglicę

Adam Podsiadły opisuje mało znaną historię Zakładu dla Dziewcząt Chorych na Jaglicę, który mieścił się w budynku przy ul. Mickiewicza 95, w którym od ponad 50 lat funkcjonuje Wielkopolski Ośrodek Reumatologiczny.

str. 05



Pierwsze lata Parafii NSP Jezusa w Śremie w zapiskach Władysława Kozielczyka

Władysław Kozielczyk przez wiele lat prowadził kronikę parafii kościoła na Jezioranach. Do nieznanych wcześniej zapisków dotarł Sebastian Ignasiak.

str. 19

Spis treści

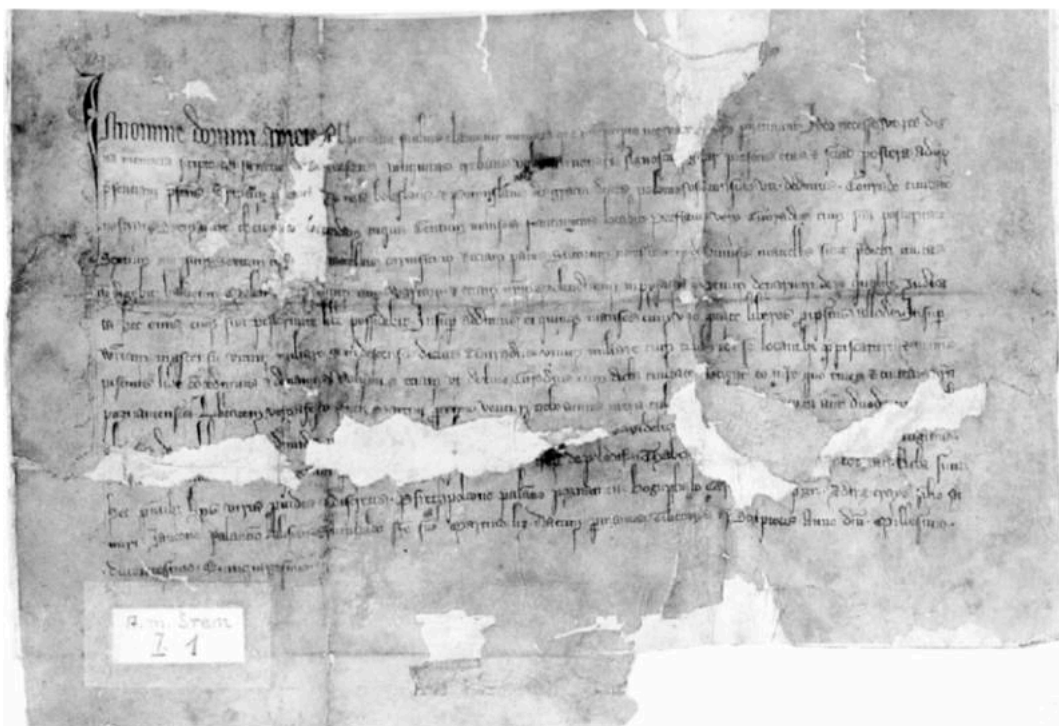
- | | |
|--|---|
| str. 02 Nasze wyjątkowe miejsce na ziemi | str. 40 Z górnej półki: <i>Powróceni</i> . Dziwna książka brytyjskiego noblisty |
| str. 05 Zakład dla Dziewcząt Chorych na Jaglicę | str. 42 Warto przypomnieć: Pędzi stopniami klawiszy... |
| str. 08 Bohater spod Książa | str. 44 Na oparach: Między memem o pomniku |
| str. 11 Patroni naszych ulic: Florian Dąbrowski | str. 47 Prawosławna wigilia przy Badnjaku i wielkim ognisku |
| str. 12 Adam Mickiewicz w Wielkopolsce | str. 50 Muzy, modelki, żony, kochanki – kobiety ze znanych obrazów. Część 3 |
| str. 19 Pierwsze lata Parafii NSP Jezusa w Śremie w zapiskach Władysława Kozielczyka | str. 53 Okiem belfra: Poza schematem |
| str. 24 Rzeczy minione: Kasetą magnetofonowa | str. 54 Wieści i Ratusza |
| str. 25 Opowieści mojej mamy: Wojenne dzieciństwo | str. 57 Symulakry |
| str. 28 Sentymenty: Nie tylko o „Gondoli” | str. 58 Muzeum – wydarzenia |
| str. 30 Wspomnienia mierzone kilometrami Warty. Część 6 | str. 60 ŚOK – wydarzenia |
| str. 34 Uciekinierzy do świata. Seria pięciu opowiadań. Marakesz | str. 62 Biblioteka – wydarzenia |
| str. 38 Kwestionariusz Kultury: Marcelina Bartnik-Idczak | |

Mariusz KONDZIELA

Nasze wyjątkowe miejsce na ziemi

Coraz częściej poszukujemy i przyznajemy się do własnych korzeni, rozumianych jako miejsce urodzenia i czas tam spędzony, bo doceniamy szczególne wartości tych miejsc, których istnienie uświadamiamy sobie po latach. Zjawisko to

nasila się wraz ze wzrostem odległości zarówno w czasie jak i przestrzeni. Czy miejsca, z których pochodzimy lub z którymi czujemy się po prostu związani dłuższym pobylem, pracą zawodową, życiem dają nam rzeczywiście powody do



Dokument lokacyjny Śremu z 1253 r. Fot. z arch. Muzeum Śremskiego

dumy? Jak jest ona wyrażana społecznie przez reprezentację wspólnoty?

Żyjemy w Śremie, statystycznie małym mieście, gdzie statystycznie mogłoby być brzydko i nudno. Archeologicznie i historycznie rzecz biorąc: „Dwie cudowne rzeczy posiada Polska. Jedną z nich jest, że na polach wsi Nochowo w pobliżu miasta Śrem w diecezji poznańskiej [...] pod ziemią same z siebie i pod wpływem samej przyrody, bez wszelkiego przyczynienia się ludzkiego, rodzą się wszelakie garnki różnego kształtu, podobne do używanych przez ludzi, słabe i miękkie dopóki spoczywają w swym gnieździe rodzimym pod ziemią, lecz po wyjęciu ich i osuszeniu na wietrze lub słońcu, dość mocne i wykazujące różne kształty i rozmiary, podobne jak naczynia wykonane przez garncarza i co uważam za jeszcze dziwniejsze, że nie zauważono zmniejszenia ich naturalnej płodności i rozmnażania się, choć ziemia nie poruszana traci na żyzności”. No nie każda miejscowość ma taką opowieść autorstwa wybitnego kronikarza Jana Długosza. Są i inne znaki na tym szlaku dumy naszego miejsca do życia. Pierwsza lokacja Śremu na prawie magdeburskim miała miejsce w 1253 roku tak jak Poznania, wiele miast osiągało ten ważny prorozwojowy status dopiero w następnych stuleciach. Śrem, w okresie zaborów był istotnym ośrodkiem tak zwanej „najdłuższej wojny nowoczesnej Europy”, w której Polacy organiczną pracą opierali się zaborcom na polu ekonomii, edukacji i kultury, tworząc podwaliny wolnego Państwa Polskiego. W 1918 roku, jeszcze przed przejęciem władzy z rąk Niemców, harcerska młodzież wyniosła na wieżę wodociągową i wywiesiła biało-czerwone barwy narodowe jako wyraz radości, dumy i nadziei na polski nowy Śrem. Dziś Polska i Śrem w Unii Europejskiej jest miejscem przyjaznym mieszkańcom. Widok z Muzeum na wieżę ciśnień wzbogaciły rzeźby wielkiej, światowej sławy artystki, Magdaleny Abakanowicz, odlwane i cyzelowane wspólnie ze śremskimi odlownikami. Jest ciekawie, pewnie, że nie idealnie, ale... nikt i nic nie jest przecież doskonałe.

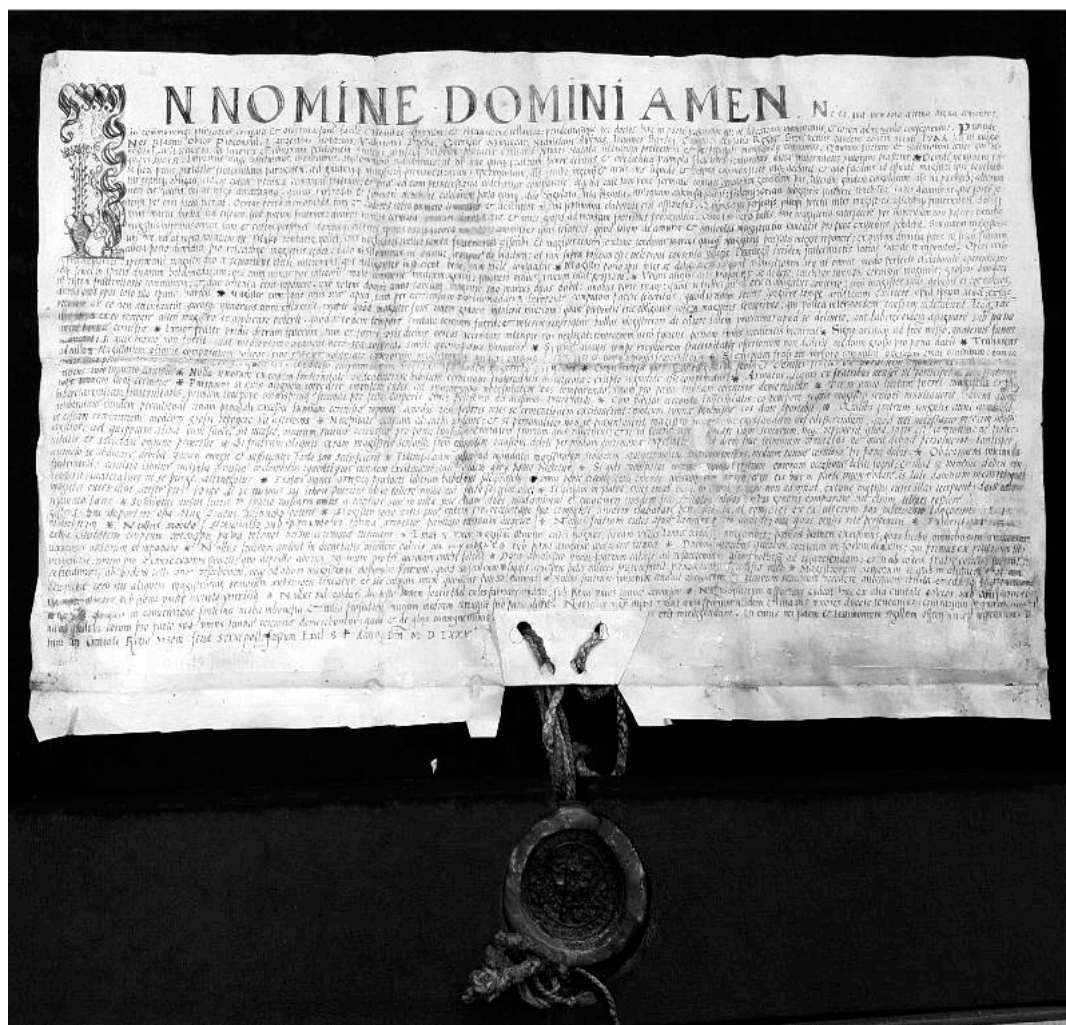
Jak więc społecznie, jako zbiorowość wyrazić dumę, satysfakcję, uznać miasto (gminę) za wyjątkowe. Służą temu symbole: herby, flagi, insy-

gnia, sztandary. W bieżącym roku Rada Miejska w Śremie nada gminie Śrem sztandar, tym sposobem potwierdzając jego rangę w świadomości mieszkańców i oczach gości Śremu. Fakt ten bez wątpienia zwraca uwagę na historię lokowanego 770 lat temu miasta. Muzeum Śremskie w partnerstwie z Archiwum Państwowym w Poznaniu przygotowuje wystawę ilustrującą początki i konstituowanie się organizmu miejskiego poprzez prezentację dokumentów i pieczęci dotyczących Śremu.

Dokumenty są od czasów najdawniejszych niezwykle cenione, stąd przechowywane w skarbcach lub instytucjach wyspecjalizowanych w ich ochronie, rzadko i krótko bywają wystawiane na widok publiczny. Dlatego wystawa udostępniona w Muzeum będzie pierwszą tego typu od 1999 roku, tym bardziej godną zobaczenia. Warte przytoczenia są fragmenty z katalogu do wspomnianej wystawy *In nomine Domini* charakteryzujące dawną strukturę władzy miejskiej: „Miasta polskie wstępują w nową erę ustrojową w ciągu XIII-XIV w. osiągając wysoki poziom rozwoju gospodarczego i politycznego. Otrzymanie praw miejskich przeobraziło miasta nadając im własny samorząd. Na czele samorządu miejskiego stała rada miejska z burmistrzem. Burmistrz z radą tworzyli magistrat, który łączył funkcje administracyjne i sądowe. Rada wraz z innymi władzami miejskimi wydawała ustawy (wilkierze) regulujące stosunki w mieście. Jurysdykcja rady obejmowała sprawy niesporne, policyjno-targowe, sprawy o naruszenie wilkierzy. Do rady należał też nadzór nad majątkiem miejskim. Rada wybierała ze swojego grona wójtów i ławników. Wójt i ława stanowili drugą władzę w mieście, której zasadniczą funkcją było sądownictwo sporne i niesporne. Trzecią władzą w mieście był tak zwany porządek. W jego skład wchodził przedstawicielce cechów, później też kupiectwa. Trzeci porządek przedstawiał propozycje wilkierzy. Śrem należał do miast znaczniejszych, gdyż leżał na szlaku handlowym między Poznaniem a Wrocławiem. Zachowane akta miasta Śremu mieszczą się w latach 1253-1832. Wśród nich dokument lokacyjny z 1253 r. oraz dokument z roku 1560 potwierdzający prawa magdeburskie z roku 1393”.

Główne uroczystości nadania i przekazania sztandaru gminy oraz 770-lecia nadania praw miejskich Śremowi będą miały miejsce 14 czerwca 2023 roku w siedzibie Muzeum Śremskiego. Zaplanowano uroczystą sesję Rady Miejskiej w Śremie, wykład okolicznościowy, otwarcie wystawy historycznych dokumentów oraz w otwartej przestrzeni przed Muzeum ceremonialne przekazanie nowego sztandaru Burmistrzowi Śremu, który odda go pocztowi

sztandarowemu śremskiej Straży Miejskiej. Od tego momentu sztandar będzie ikonograficznym reprezentantem gminy Śrém we wszystkich wymagających jego obecności oficjalnych uroczystościach. Dotychczas używana przez Straż Miejską chorągiew spocznie w Muzeum Śremskim. W imieniu Rady Miejskiej i Burmistrza Śremu zapraszamy do wzięcia udziału w tym wydarzeniu.



Dokument pergaminowy z 1575 r., wydany przez Radę Miejską. Fot z arch. Muzeum Śremskiego

Adam PODSIADŁY

Zakład dla Dziewcząt Chorych na Jaglicę

Zapiski historyczne

Budynek na ulicy Mickiewicza 95, w którym mieści się i działa od ponad 50 lat Wielkopolski Ośrodek Reumatologiczny w Śremie, został zbudowany przez pruskie władze prowincjonalne w 1909 r. Na postawienie i wyposażenie obszernego gmachu w sąsiedztwie Krajowego Zakładu dla Ubogich (tzw. „klasztorku” założonego w 1893 r. w dawnych pojezuickich budynkach klasztornych) przeznaczono 300 tys. marek. Był wyposażony w kanalizację, centralne ogrzewanie, własne zasilanie energią elektryczną, duże zaplecze kuchenne, jadalnię, pokoje sypialne dla ok. 200 osób, gabinety lekarskie, pralnię i zaplecze gospodarcze. W 1910 r. obok głównego budynku powstał dom dla rodzin pracowników. Pawilony zakładu otaczał rozległy park i gospodarstwo ogrodnicze.

Pod niemiecką nazwą *Provinzial Erholungsheim* (Prowincjonalny dom dla rekonwalescencji) działał do początku 1919 r. Rzeczywiście był szpitalem przeznaczonym dla kobiet i mężczyzn w podeszłym wieku, nieuleczalnie chorych, inwalidów, nierzadko z problemami psychicznymi, najczęściej bez rodzin, samotnych i ubogich, którzy „popadli

w opiekę publiczną”, jak określono w sprawozdaniu Krajowego Domu dla Ubogich, społeczne i socjalno-bytowe położenie podopiecznych. Czasowo (1920–1923), w jego kilku pomieszczeniach istniał Dom Wychowawczy Czerwonego Krzyża, gdzie schronienie znalazło 80 polskich sierot wojennych z terenów Rosji.

W latach międzywojennych XIX wieku, zakład pełnił nieprzerwanie funkcje opiekuńcze i lecznicze dla pacjentów kierowanych do ośrodka przede wszystkim z terenu Wielkopolski. Starostwo Krajowe w Poznaniu, któremu zakład podlegał przyjmowało wnioski i podejmowało decyzje o przyjęciu osób starających się o miejsce w zakładzie.

Krajowy Zakład dla Ubogich w Śremie należał do największych tego typu placówek w zachodnich województwach Polski. Nowa jego część zaprojektowana z myślą o funkcjach, które miała pełnić, nowoczesnie wyposażona, dysponująca fachowym personelem pielęgniarskim i lekarskim wzbudziła zainteresowanie Polsko-Amerykańskiego Komitetu Pomocy Dzieciom. Komitet, przy wsparciu Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej



Nowy budynek Krajowego Zakładu dla Ubogich w Śremie, w którym w latach 1925-1930 mieścił się Zakład dla Dziewcząt Chorych na Jaglicę.

Pocztówka wydana nakładem drukarni H. Schwantes w Śremie. Z kolekcji Krzysztofa Budzynia – „Śremski Notatnik Historyczny”.

oraz Generalnej Dyrekcji Służby Zdrowia, utworzył dwa specjalistyczne zakłady leczniczo-wychowawcze dla dzieci chorych na jaglicę: jeden w Warszawie dla chłopców i w czerwcu 1925 r. dla dziewcząt w Śremie, wydierżawiając na ten cel od Krajowego Związku Komunalnego w Poznaniu pawilony nowego budynku Domu dla Ubogich. Podobny ośrodek prowadził pod Krakowem Uniwersytet Jagielloński. Placówki tego typu były bardzo potrzebne, zważywszy na negatywny wpływ I wojny światowej i potem wojny polsko-bolszewickiej na ogólny stan higieny i zdrowia społeczeństwa, a szczególnie młodego pokolenia Polaków. Panowało niedożywienie i anemia, rozszerzały się epidemie groźnych dla życia: gruźlicy i jaglicy. Służby

sanitarne oceniały, że w dzielnicy poznańskiej jaglica, jako choroba bardzo zaraźliwa rozpowszechniona jest w „rozmiarach poważnych, lecz społeczeństwo w większej mierze, mianowicie warstwy mniej uświadomione, nie zdają sobie z tego sprawy”. Nieleczona jaglica, zwana także egipskim zapaleniem oczu, powoduje całkowitą ślepotę.

Po przeniesieniu pensjonariuszy z nowych pawilonów do pomieszczeń w „klasztorku”, w pierwszym miesiącu przyjęć przybyło do Śremu na leczenie 59 dziewcząt z zaawansowaną chorobą jaglicy. Pochodziły ze wschodnich województw byłego Królestwa Polskiego. Zakład dysponował 170 miejscami i szybko się zappełnił. Przyjmowano na leczenie dziewczęta w wieku od 7 do 16 roku życia

ze zróżnicowanym zaawansowaniem choroby. Samorządy powiatowe i miejskie były zobowiązane do wnoszenia obowiązkowych opłat za pobyt chorych dzieci ze swojego terenu, według administracyjnie ustalonej stawki dziennej, która w 1927 r. wynosiła 2,15 zł. Pozyskane w ten sposób środki finansowe wspierały budżet zakładu i zapewniały podopiecznym m. in. całkowite utrzymanie, odzież, pomoce do nauki szkolnej i opiekę lekarską.

Zakład podzielono na trzy oddziały: sanitarno-leczniczy, wychowawczy i administracyjny. Oddział sanitarno-leczniczy nadzorował prof. dr Witold Kapuściński, wybitny okulista z kliniki Uniwersytetu Poznańskiego, który dojeżdżał na konsultacje trzy razy w miesiącu. Stałą opiekę na miejscu sprawował jego asystent dr. Kalitowicz. Dyżury lekarskie pełnili na zmianę śremscy lekarze: Tadeusz Bogacki i Stanisław Morawski. Codziennie rano i wieczorem pacjentki przychodziły do ambulatorium na badania kontrolne. Na oddziale pracowały trzy pielęgniarki i dwie sanitariuszki. Dziewczynki umieszczone były w grupach: chorych na jaglicę sączącą, jaglicę suchą i ozdowieńców, oczekujących na zwolnienie do domu. Zachowanie reżimu sanitarnego wymagało trzech odrębnych sypialni (po 60 łóżek, przy każdej dostępna umywalnia i łazienka), trzech oddzielnych stołówek i trzech szatni. Terapia i czas niezbędny do wyleczenia jaglicy trwały przeważnie sześć-osiem miesięcy.

Po krótko trwającym zarządzaniu przez Janinę Bagińską, kierownictwo nad zakładem objęła Zofia Rutkowska. Osoba z kwalifikacjami pedagogiczno-wychowawczymi i dyplomowana pielęgniarka „[...] oddająca się pracy dla dobra instytucji i jej pupilów z zamiłowaniem i uczuciem. Jej takt i umiejętności sprawiają, że wszelkie czynności w zakładzie załatwia się prawidłowo i celowo oraz, że pełnione zadania wychowawcze wobec licznej dziatwy rozwija się w najlepszym kierunku [...]”, napi-

sał w opinii o Zofii Rutkowskiej wizytator z Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej w Warszawie.

Zakład nie tylko leczył, ale wychowywał i uczył. W oddziale wychowawczym pracowało sześć nauczycielek. Prowadziły naukę dziewcząt w czterooddziałowej szkole powszechnej i dla najstarszych pensjonariuszek dokształcające kursy zawodowe, prasowania, szycia, gotowania i uprawy warzyw. Doktor Morawski prowadził dodatkowo obowiązkowe dla wszystkich zajęcia z higieny. Szkołą kierowała Bronisława Milewska. Nauka odbywała się od godz. 8.00 do 13.00. Czas po odrobieniu lekcji przeznaczano na spacery po otaczającym zakład parku i pobliskiej promenadzie nad Wartą. Ciszę nocną ogłaszano o godz. 20.00.

W administracji zakładu pracowało czterdzieści osób obsługujących księgowość, magazyn żywności, bielizny, obuwia.

Śremski zakład został zamknięty w 1930 r. Przez pięć lat działalności przyjął na leczenie i przywrócił do zdrowia ok. 800 chorych na jaglicę dziewcząt.

Doświadczenia wspomnianych, podobnych placówek zwalczających w systemie zamkniętym jaglicę, przyczyniły się do otwarcia przychodni przeciw jaglicznym w miastach powiatowych np. Gnieźnie, Inowrocławiu, Nowym Tomyślu, Czarnkowie, Kępnie, Ostrzeszowie i w Śreмі.

Opracowano na podstawie materiałów:

„Przewodnik Miłosierdzia”. Miesięcznik Związku Towarzystw Dobroczynnych Caritas. Poznań 1927, nr 8; *Zakład dla Dzieci Jaglicznych w Śreмі*, „Wiadomości Śremskie”, 1928, nr 2; „Przewodnik opieki społecznej”. Poznań 1928; *Sprawozdanie Wydziału Krajowego Poznańskiego Związku Komunalnego*. Poznań 1929/1930; *100 lat działalności Zakładu Opiekuńczo –Leczniczego w Śreмі*. Śreмі 1993

Marek REZLER

Bohater spod Książa

Rok 2023 upływa pod znakiem ważnych rocznic dla Wielkopolski: 205. rocznicy śmierci generała Jana Henryka Dąbrowskiego, 210. i 155. rocznicy urodzin i śmierci Hipolita Cegielskiego, a także 175. rocznicy wydarzeń Wiosny Ludów, które szczególnie odcisnęły swe piętno w Poznańskim. Warto w tym kontekście przypomnieć sylwetkę bohatera tamtych dni, poległego w walce o Książ majora Floriana Dąbrowskiego.

PRZEZ POWSTANIE DO FRANCJI

Nie był Wielkopolaninem. Urodził się 6 marca 1798 roku w Trojanach pod Zgierzem (w ówczesnym województwie łęczyckim), w rodzinie o tradycjach wojskowych. Był synem Kazimierza herbu Jastrzębiec i Marianny z Chrzastowa Wielkiego Dąbrowskich. O jego wczesnych latach życia niewiele wiadomo. Do armii Królestwa Polskiego wstąpił w 1816 roku, a rok później awansował z sierżanta na podporucznika 2. pułku strzelców pieszych. Jako porucznik przeszedł w 1825 roku do 7. pułku piechoty liniowej, a w 1830 roku należał do spisku podchorążych. Po wybuchu wojny polsko-rosyjskiej dowodził kompanią w nowo sformowanym 5. pułku strzelców pieszych. W lutym 1831 roku awansował na stopień kapitana, a w lipcu na majora. W tym samym miesiącu został odznaczony Złotym Krzyżem Virtuti Militari za zasługi w obronie Warszawy. Po upadku powstania przeszedł z korpusem generała Macieja Rybińskiego do Prus, a w 1832 roku wyemigrował do Francji. Osiadł najpierw w Awinionie (był

tam przewodniczącym Rady Polaków), a później w Guéret, Evaux i Tours. Tam wstąpił do Zjednoczenia Emigracji Polskiej, a w 1846 roku do Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Aktywnie uczestniczył w rozgrywkach politycznych w kręgach emigracji polskiej i dążył do zjednoczenia działających tam organizacji; martwiły go panujące wśród niej kłótnie i rozgrywki personalne. Starał się przede wszystkim zachować wojskową organizację polskiej emigracji w przekonaniu, że nieodległy jest czas, gdy znów zajdzie potrzeba zbrojnej walki o niepodległość Polski. Jak wielu ówczesnych oficerów polskich, był wolnomularzem.

EUROPEJSKA BURZA

W okresie Wiosny Ludów wrócił na ziemię polskie i wstąpił do wojska tworzonego w Wielkim Księstwie Poznańskim. Tutaj konieczne jest wyjaśnienie tła wydarzeń, do których doszło w regionie najpierw w roku 1846, a potem w latach 1848-1849. Wiosna Ludów, jako zjawisko w Europie obejmujące lata 1848-1849, była próbą obalenia Świętego Przymierza zawartego traktatem wiedeńskim z 1815 roku. Obejmowała wiele zjawisk politycznych, społecznych i światopoglądowych, niemożliwe jest więc jej jednoznaczne, proste zdefiniowanie i określenie. W tym czasie rozpoczął się proces zjednoczenia Włoch, pojawiły się niezwykle silne i trwałe nowe ruchy społeczne, rodziły się myśli filozoficzne, obudziła się świadomość narodowa wielu społeczeństw. To wtedy ukształtowało się dzisiejsze rozumienie pojęć państwa, narodu,



Florian Dąbrowski - fotografia ze zbiorów WIR Książ

patriotyzmu, wierności krajowi, co bardzo szybko dało początek całkowicie błędnej interpretacji postaw ludzi żyjących we wcześniejszych epokach. To była wielka burza, wstrząs, który poruszył dotychczasowy porządek europejski. Ostatecznie Wiosna Ludów została stłumiona, lecz wprowadzone wówczas zmiany całkowicie odmieniły Europę i dały początek zjawiskom, których rezultaty odczuwamy do dziś.

WYMODŁONE NADZIEJE

Na ziemiach polskich wydarzenia Wiosny Ludów, co zrozumiałe, były połączone z nadziejami niepodległościowymi. W zaborze rosyjskim, który jeszcze nie podniósł się po represjach będących wynikiem powstania listopadowego, wydarzenia z lat 1848-1849 nie były zbyt intensywne. Ale w zaborach pruskim i austriackim w tym czasie wiele się działo. Ferment polityczny narastał już około 1846 roku. Mieszały się niepewność i nadzieja związane z wielką wojną narodów (o którą modlił się już Adam Mickiewicz w *Księgach narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego*), która stworzyłaby korzystne warunki dla odrodzenia naszej państwowości. Szczególnie aktywne w akcentowaniu tych nastrojów i przenoszeniu ich na ziemię polskie były organizacje złożone z polistopadowych emigrantów, aktywne zwłaszcza w Paryżu i w Londynie. Najbardziej dy-

namiczne było Towarzystwo Demokratyczne Polskie, spośród członków którego zaczęto wysyłać emisariuszy i dowódców przyszłego powstania. Jednym z nich był Florian Dąbrowski. W Księżu powstrzymał sprzeciw oficerów wobec Mierosławskiego, przygotował miasteczko do obrony, ufortyfikował silnymi barykadami, wykazał się fachową wiedzą i umiejętnością na swoim stanowisku. Wydarzenia Wiosny Lu-

dów w Wielkopolsce, już w 1848 roku niezbyt ściśle określane mianem powstania, w rzeczywistości inspirowane były z zewnątrz i nie bardzo pasowały do metody działań niepodległościowych przyjętej w Poznańskim po upadku powstania listopadowego. Odpowiadały nastrojom społecznym, ale nie zgadzały się z ogólną, podświadomie przyjętą tutaj linią działań niepodległościowych, coraz bardziej skłaniających się ku pracy organicznej – ale nie tracących z pola uwagi konieczności podjęcia z czasem walki zbrojnej. Mimo to już w 1846 roku, z inspiracji TDP w części Wielkopolski będącej w granicach Prus doszło do dość niezręcznie zorganizowanej próby powstańczej, zakończonej aresztowaniami i wielkim procesem berlińskim, w którym osądzono niektórych głównych działaczy sprysiężenia, z przyszłym wodzem powstania, Ludwikiem Mierosławskim, na czele. Prusacy jednak nie spieszyli się z wykonaniem wyroków, zatem osoby te brały udział w 1848 roku w wielkim, europejskim ruchu, który w Wielkopolsce był bardzo dynamiczny.

CZTERY GODZINY OBRONY

Florian Dąbrowski przybył do Wielkopolski w marcu 1848 roku. Początkowo Ludwik Mierosławski widział go na stanowisku dowódcy obozu w Mieściskach, ale ostatecznie 23 kwietnia major Dąbrowski objął komendę obozu w Książu, po dobrowolnej rezygnacji pułkownika Jana Budziszewskiego. Energicznie zabrał się do porządkowania spraw wojskowych i zaprowadzenia dyscypliny w zgrupowaniu. Powstrzymał sprzeciw oficerów wobec Mierosławskiego, przygotował miasteczko do obrony, ufortyfikował silnymi barykadami, wykazał się fachową wiedzą i umiejętnościami na swoim stanowisku. Był we właściwym miejscu i o właściwym czasie. W końcu kwietnia sytuacja w regionie wyjaśniła się na tyle, że początkowo planowana wojna prusko-rosyjska szybko stała się nieaktualna i Prusacy zgromadzili wystarczające siły, by można było zlikwidować niepotrzebne już polskie obozy. Zakończył się dwutygodniowy okres solidaryzmu polsko-pruskiego przeciwko wspólnemu wrogowi – Rosji. Polskie zgrupowania częściowo udało się różnymi sposobami spacyfikować, ale ostatecznie walka okazała się nieunikniona. W końcu kwietnia 1848 roku major F. Dąbrowski usunął pru-

skiego żandarma z Książa; sam był oficerem przybyłym z emigracji, co stało się pretekstem dla pułkownika Heinricha Brandta do zaatakowania obozu w mieście. Obrona Książa miała dać czas pozostałym obozom do przeprowadzenia koncentracji i trwać tak długo, jak to było możliwe. Dąbrowski ze swymi żołnierzami bronił się przez cztery godziny, mimo kilkukrotnej przewagi oddziałów pruskich.

POCHOWANY W ŚREMIE

Dowódca obrony Książa osobiście wziął udział w walce i został ciężko ranny. Jeszcze zdążył porozmawiać ze swoim przeciwnikiem, pułkownikiem Brandtem (który, nawiasem mówiąc, wcześniej służył w legii pułkownika Chłopickiego, w armii Księstwa Warszawskiego). Panowie rozmawiali konkretnie i rzeczowo, ale po rycersku, bez nienawiści – odmiennie do zachowania żołnierzy pruskich w Książu. Ciężko ranny i cierpiący major Dąbrowski został przewieziony do lazaretu w Śremie, gdzie 2 maja zmarł i tam został pochowany. Już wtedy był otoczony czcią i szacunkiem. Jego pogrzeb połączony był z wielką patriotyczną manifestacją mieszkańców Śremu i okolic. Na miejscowym cmentarzu na mogile poległych powstańców wzniesiono pomnik z głazów (przywiezionych z Goli), rozebrany w 1858 roku na polecenie landrata śremskiego Karla Funcka. Istnieje opinia, jakoby wtedy szczątki F. Dąbrowskiego zostały przeniesione do podziemi kościoła w Winnej Górze, w wyniku błędnego przekonania o pokrewieństwie obrońcy Książa z Wodzem Legionów. Jednak jest to wątpliwe. Ostatecznie we wrześniu 1897 roku na cmentarzu w Śremie stanął pomnik na mogile powstańców zmarłych w tutejszym lazarecie, w dużej mierze dzięki podstępowi zastosowanemu przez ks. Piotra Wawrzyniaka. Dzisiaj bohaterski obrońca Książa został upamiętniony przede wszystkim w miejscu ostatniej walki; jest bohaterem odsłoniętej tam w 1935 roku tablicy pamiątkowej, patronem ulic w Śremie i w Książu. W okresie międzywojennym major Florian Dąbrowski był patronem Fortu VII na poznańskich Jeźcach.

Przedruk z „Monitora Wielkopolskiego” – luty 2023, za zgodą redakcji i autora.

Ewa NOWAK

Florian Dąbrowski

Patroni naszych ulic



„Patroni naszych ulic” to nowy cykl, który rozpoczynamy w tym numerze „Gazety Śremskiej”. W kolejnych numerach prezentować będziemy postacie, które patronują ulicom w naszym mieście. Są wśród nich osoby, które zapisały się w dziejach Polski, regionu czy naszego miasta. Warto znać patrona swojej ulicy, wiedzieć kim był – to jeden ze sposobów utrwalania pamięci. Ulica Floriana Dąbrowskiego, od której zaczynamy prezentację, znajduje się w prawobrzeżnej części miasta. Łączy ulicę Ogrodową ze Starym Rynkiem, przecinając po drodze ulice: Podgórną, Gołębią, Kościuszki, Szewską i Piłsudskiego.

O Florianie Dąbrowskim, patronie ulicy, pisze na str 8 Marek Rezler. Przeczytajmy i zapamiętajmy.



Tadeusz RZEPKA

Adam Mickiewicz w Wielkopolsce

Mickiewicz nigdy nie był w Warszawie. Nie był również nigdy w Krakowie i Lwowie. Jedynym miejscem w dawnej Rzeczypospolitej (poza ówczesną Litwą), które Mickiewicz odwiedził i gdzie przez dłuższy czas przebywał była Wielkopolska, czyli według ówczesnej nomenklatury Wielkie Księstwo Poznańskie. Wielkopolska nie miała być celem Jego podróży, miała być tylko etapem na drodze do Królestwa Polskiego, w którym toczyły się wówczas walki powstańcze. Droga Mickiewicza do Wielkopolski była rezultatem spłotu wielu nieplanowanych zdarzeń. Można więc powiedzieć, że była dziełem przypadku. Jak więc ta droga przebiegała?

Za udział w tajnych młodzieżowych organizacjach patriotycznych „Filomatów” i „Filaretów” Mickiewicz był więziony w Wilnie, a następnie skazany na zesłanie do Rosji. Zesłanie to, zresztą niezbyt represyjne, gdyż Mickiewiczowi zezwolono wybrać miejsce pobytu, podróżować po Rosji, i utrzymywać kontakty towarzyskie, trwało od października 1824 roku do marca 1829 roku. Po uzyskaniu zezwolenia na wyjazd, Mickiewicz udał się drogą morską, z Petersburga do Hamburga, skąd pojechał do Berlina. Tam, jak pisze w listach, poznaje i bardzo przychylnie ocenia Poznańczyków: Franciszka Mycielskiego, Eligiusza Zakrzewskiego, Stefana Garczyńskiego, Karola Libelta i Wojciecha Cybulskiego. Z Berlina przez: Drezno, Pragę, Weimar, Nadrenię i Szwajcarię dociera do Włoch. Zwiedza Włochy i na dłuższy czas zatrzymuje się w Rzymie. Okres ten wspomina jako czas beztroski, czas obcowania z piękną przyrodą i dziełami

sztuki. Na początku grudnia 1830 roku dochodzą do Rzymu wiadomości o wybuchu Powstania w Królestwie Polskim. Z Warszawy płynęło wiele niepokojących wieści. Oparte na prawdzie, lecz wyolbrzymione przez rosyjskich dyplomatów informacje o niesnaskach w dowództwie Powstania, nie wróżyły powodzenia temu patriotycznemu zrywowi. Mimo to, Mickiewicz, podobnie jak wielu przebywających na obczyźnie młodych Polaków, chciał przyjechać do Królestwa Polskiego i wziąć udział w walkach. Podróże w owym czasie były bardzo kosztowne, a przejazd dyliżansem z Rzymu do Polski wiązał się z wydatkowaniem dużej sumy pieniędzy. Tymczasem na początku 1831 roku Mickiewicz dowiaduje się, że jeden z jego wierzycieli, który zalegał mu dużą sumę pieniędzy, zbankrutował. Dopiero w pierwszych dniach marca 1831 roku, dzięki Stefanowi Garczyńskiemu (poecie, pochodzącemu zresztą z Wielkopolski), udaje się Mickiewiczowi zgromadzić pieniądze na pokrycie kosztów podróży. Powstają jednak dodatkowe trudności, które powodują opóźnienie terminu wyjazdu do Polski. We Włoszech wybuchają rozruchy. Po uspokojeniu sytuacji, na początku kwietnia 1831 roku, Mickiewicz wyrusza z Rzymu. Jednakże nie kieruje się najkrótszą drogą do Królestwa Polskiego, lecz udaje się przez Genewę do Paryża. Tam ma się zebrać oddział, który drogą morską, prawdopodobnie szwedzkim statkiem, ma być przetransportowany do brzegów Litwy, by dołączyć do Powstańców. Jest zrozumiałe, że Mickiewicz chce walczyć w towarzystwie krajan. Jednakże wy-

prawa nie dochodzi do skutku. Szwedzi pod naciskiem Rosji odmawiają transportu. Wtedy zapada decyzja dotarcia do objętego Powstaniem Królestwa Polskiego przez Wielkopolskę, która wówczas wchodziła w skład Prus. Mickiewicz wybrał drogę przez Wielkopolskę, gdyż znał już wówczas wielu (jak pisze) Poznańczyków i liczył na ich pomoc przy przekraczaniu granicy zaborów. W dniu 21 lipca Mickiewicz opuszcza Paryż, by poprzez Bawarię i Drezno około 10 sierpnia 1831 roku dotrzeć do Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Pierwszym miejscem w którym się zatrzymuje, jest pałac w Kopaszewie należący wówczas do Antoniego Skórzewskiego. Odpoczynek w Kopaszewie był koniecznością, gdyż podróż z Paryża (około 1350 km) w ciasnym i trzęsącym dylżansie trwała prawie trzy tygodnie. Długi czas trwania podróży wynikał stąd, że dylżansy poruszały się z szybkością zaledwie 10 kilometrów na godzinę. Nadto, co 3 lub 4 godziny konieczna była wymiana koni. W konsekwencji w ciągu jednego dnia przebywano 70-90 kilometrów. W niektórych publikacjach dotyczących pobytu Mickiewicza w Wielkopolsce podaje się, że przybył on jako wysłannik Polskiej Legacji, czyli przedstawicielstwa Rządu Narodowego w Paryżu oraz przedstawiciel środowiska polskiego w Dreźnie. Jeżeli rzeczywiście powierzone Mickiewiczowi jakąś misję, to była to misja spóźniona. Jaki bowiem był stan Powstania w czasie gdy Mickiewicz przybył do Wielkopolski? Od chwili wybuchu Powstania w nocy z 29 na 30 listopada 1830 roku do dnia 23 stycznia 1831 roku niewiele się działo. W tym czasie granica nie była szczególnie strzeżona i dlatego, głównie młodzi ludzie z zaboru Pruskiego, z łatwością docierali do Warszawy. Z Wielkopolski zasililo szeregi powstańców ponad 3 tysiące ochotników. W dniu 23 stycznia 1831 roku Sejm podejmuje uchwałę o detronizacji Cara. W odpowiedzi, 115-tysięczna armia rosyjska pod dowództwem generała Dybicza przekracza granicę Królestwa (dla porównania – Królestwo Polskie dysponowało 30-tysięczną armią). W dniu 25 lutego dochodzi do nie rozstrzygniętej bitwy o Olszynkę Grochowską, po której następuje ofensywa polska i kilka bitew wygranych przez Powstańców. W kwietniu wybucha, w pierw w wojsku rosyjskim, a następnie w polskim, epidemia cholery. Umiera generał Dybicz, a dowództwo po nim obejmuje

generał Paskiewicz. Po wybuchu cholery, aby uniemożliwić przeniesienie się epidemii do Prus, granicę prusko-rosyjską w Wielkopolsce obsadza 80-tysięczny korpus pod dowództwem generała Gnaisenau. Granica zaborów jest intensywnie patrolowana. Nielegalne jej przekraczanie (a tylko takie wchodziło w rachubę), stało się bardzo trudne.

W dniu 26 maja dochodzi do bitwy pod Ostrołęką, w której wojska powstańcze ponoszą klęskę. Od tego momentu powstanie zaczyna chylić się ku upadkowi. Wojska rosyjskie atakują Warszawę. Część powstańców z rozbitych oddziałów przekracza granicę z Prusami, i jest internowana w obozach jenieckich. Tak przedstawiała się sytuacja, gdy Mickiewicz przybył do Wielkopolski.

O tym, że Wielkopolska nie była celem, lecz tylko przystankiem w podróży Mickiewicza do Królestwa Polskiego, świadczy fakt, że po kilku dniach pobytu w Kopaszewie, udaje się On do Śmiełowa, oddalonego o 7 kilometrów od granicznej rzeki Prośny. Właścicielem Śmiełowa jest wówczas Hieronim Gorzeński, a jego żoną jest Antonina z Bojanowskich Gorzeńska. Mickiewicz przybywa do Śmiełowa w towarzystwie Ksawerego Bojanowskiego, jej brata. Ksawery Bojanowski towarzyszy zresztą Mickiewiczowi podczas całego jego pobytu w Wielkopolsce. Jak wspomniano, wzdłuż granicy z Rosją rozlokowano pruskie wojska. W samym Śmiełowie, w oficynie pałacu, rezyduje pruski oficer, a na granicy wioski, stoją wojskowe posterunki. Każdy przybysz jest pilnie obserwowany. Dlatego Mickiewicz przybywa do Śmiełowa zakonspirowany, pod fałszywym nazwiskiem Muhl, jako nauczyciel dzieci właścicieli Śmiełowa i ich daleki krewny. Już po dwóch dniach pobytu w Śmiełowie, Mickiewicz podejmuje próbę przekroczenia granicy. Wyprawę nad graniczną Prośnę opisuje Benedyktyn z Lubinia, ojciec Józef Ostrowski w wydany w 1932 roku opracowaniu pt. *Mickiewicz w Wielkopolsce*. Opis ten zaczerpnął z wcześniejszych opracowań historyka, Klemensa Kanteckiego piszącego pod koniec XIX wieku. Kantecki posługiwał się informacjami uzyskanymi od żyjących świadków tych wydarzeń. Z opisu Ojca Józefa Ostrowskiego wynika, że Mickiewicz, wraz z Antoniną Gorzeńską, jej dwoma synami oraz rezydentką Markiewiczówną udaje się karetą do położonego



Pałac w Kopaszewie, fot. Zbigniew Szmidt

tuż przy granicy Komorza. Po drodze karetą jest kontrolowana przez posterunek wojskowy, lecz kontrolujący żołnierz nie zauważył siedzącego wewnątrz Mickiewicza. W Komorzu, Mickiewicz zatrzymuje się u dzierżawcy, pana Florkowskiego, który, jak pisze J. Ostrowski, miał dobre kontakty z „zmyślnymi ludźmi”, czyli prawdopodobnie z przemytnikami, bo przemyt w owym czasie na granicy kwitł. Zakładano, że przemytnicy, znający doskonale teren, posiadający własnych informatorów i „schowki”, przeprowadzą bezpiecznie Mickiewicza przez „zieloną granicę”. Przez dwa dni przesiedział Mickiewicz na strychu u pana Florkowskiego, czekając na okazję. Ze względu na gęste patrole wojskowe po stronie pruskiej i często pojawiające się konne oddziały Kozaków po stronie przeciwnej, odradzono Mickiewiczowi wyprawę za Prosnę, gdyż uznano, że nie może się ona zakończyć powodzeniem. Powiadomiona o tym pani Gorzeńska, ponownie przyjeżdża kareta do Komorza i zabiera z sobą Mickiewicza do Śmiełowa. Na szczęście, dalszych prób przekroczenia

granicy nie podejmowano. Racjonalne myślenie przeważało nad romantycznym uniesieniem. Jest prawie pewne, że w zaborze rosyjskim zostałby zdemaskowany, aresztowany i osądzony jako recydywista, gdyż już raz skazany był na zesłanie. Dobrze więc, że tak się stało jak się stało.

W opracowaniach dotyczących pobytu Mickiewicza w Wielkopolsce pojawiają się też informacje, że Mickiewicz jakoby przekroczył granicę i dotarł do Pyzdr, lecz w obawie przed wykryciem przez patrole wojskowe wrócił do Komorza. Aby dojść do Pyzdr, musiałby przejść pieszo około 8 kilometrów wzdłuż intensywnie kontrolowanej granicy. Jest rzeczą naturalną, i tak wszyscy postępowali, że po nielegalnym przekroczeniu granicy, spieszenie się od niej oddalali. Tymczasem przybycie do Pyzdr, w których w tym czasie stacjonował silny oddział Kozaków, byłoby równoznaczne z „wejściem w paszczę lwa”, a więc narażeniem się na prawie pewne aresztowanie. Ponadto, musiałby wrócić na teren największego zagrożenia i ponownie ryzykować



Pałac w Śmiełowie, fot. Zbigniew Szmidt

nielegalne przekroczenie granicy. Informacje te więc wydają się nieprawdopodobne.

W Śmiełowie Mickiewicz staje się przedmiotem zainteresowania okolicznego ziemiaństwa. Jest już znanym poetą. W pałacach i dworach czyta się jego poezje wydane w latach 20.: *Odę do młodości*, *Ballady i romanse*, *Grażynę*, *Sonety Krymskie* i *Konrada Wallenroda*. Jest człowiekiem światowym, który dużo podróżował. Zna Rosję. Był we Francji, Niemczech, Czechach, Austrii, Szwajcarii i Włoszech. Jest poliglotą. Zna język rosyjski, niemiecki, francuski, włoski, łacinę i grekę. Otoczony jest aureolą bojownika o odrodzenie Polski. Jest też kawalerem. Nic więc dziwnego, że jest przedmiotem zainteresowania. W szczególności pań.

Informacją o upadku Warszawy Mickiewicz jest załamany. Stracił bowiem cel, do którego dążył. Podobno nachodziły go myśli samobójcze. Aby złagodzić stres, gospodarze urozmaicają mu pobyt organizując grzybobrania i polowania. W takiej atmosferze przybywa w odwiedziny do Śmiełowa siostra Antoniny Gorzeńskiej, Konstancja Łubieńska. Konstancja Łubieńska urodzona tak jak Mickiewicz w 1798 roku, jest żoną kapitana wojsk napoleońskich, Józefa Łubień-

skiego i matką pięciorga dzieci. Jest osobą wykształconą. Ukończyła pensję w Dreźnie. Piszze wiersze i ma opinię intelektualistki. Jest obdarzona wielką urodą i dowcipem. Mickiewicz tak ją zafascynował, że na krok go nie odstępował. Obustronna fascynacja szybko przeradza się w romans. Romansowanie siostry, żony i matki, i to w dodatku w jej domu, na jej oczach, nie podobają się Antoninie Gorzeńskiej. Demonstruje ona swoje niezadowolenie, wręcz zgorznienie. Z dalszego przebiegu zdarzeń oraz z opisywanego we wspomnieniach zachowania Antoniny Gorzeńskiej, można przypuszczać, że wpłynęła ona na skrócenie pobytu Mickiewicza w Śmiełowie. Świadczy o tym niespodziewany powrót do Kopaszewa i nerwowe poszukiwanie miejsca, w którym na dłużej mógłby się zatrzymać, oraz wprowadzony w Śmiełowie i obowiązujący przez wiele lat zakaz mówienia o Mickiewiczu i wspomniania jego tam pobytu. Romans Mickiewicza z Konstancją Łubieńską staje się głośny wśród wielkopolskiego ziemiaństwa i jest bardzo źle oceniany. Konstancję Łubieńską posądza się o to, że nie pozwoliła Mickiewiczowi dołączyć do powstańców. Posądzenie to jest absolutnie bezzasadne. Gdy Konstancja przybyła



Dwór w Choryni, fot. Zbigniew Szmidt

do Śmiełowa, Powstanie dogorywało. Mickiewicz nie miał jakichkolwiek szans, by dotrzeć do Warszawy przed jego upadkiem. Zachowanie Mickiewicza surowo ocenia również wielki autorytet wśród Polaków, generał Dezydery Chłapowski, który pisze „Kiedy się wszyscy bili, on tutaj, w moim sąsiedztwie, z niecną kobietą, złe życie przez cztery miesiące prowadził. Może się poprawił. Boże przebac mu, ale ludzie nie są tak miłosierni”. Taka ocena zachowania Mickiewicza spowodowała, że przez długi czas nie publikowano wspomnień z jego pobytu w Wielkopolsce. Utrudniło to odtworzenie w szczegółach szlaków jego podróżowania. Na podstawie zapisków właścicieli pałaców i dworów oraz ksiąg parafialnych wiadomo, że na jesieni 1831 roku często zmieniał miejsca swego pobytu. Wiadomo, że miejscem, do którego kilkakrotnie wracał było Kopaszewo. W połowie września z Kopaszewa czyni krótkie wypadki do okolicznych dworów w: Choryni, Krzyżanowie, Skoraszewicach i Krzekotowicach. 20 września w Choryni jest ojcem chrzestnym córki małżeń-

stwa Taczanowskich, Wiktorii. Był to tzw. „chrzest olejami świętymi”. W owym bowiem czasie, ze względu na dużą śmiertelność niemowląt, zaraz po urodzeniu dokonywano tzw. „chrztu z wody”. Natomiast, gdy dziecko miało kilka lat, uroczystość dopełniano ten obrządek poprzez nałożenie przez księdza w kościele olejów świętych. W takim właśnie obrządku uczestniczył Mickiewicz. Już po kilku dniach, 26 września Mickiewicz uczestniczy ponownie w uroczystości chrztu olejami świętymi w oddalonym o 90 kilometrów Budziszewku, w majątku Łubieńskich, gdzie jest ojcem chrzestnym czteroletniej wówczas Marii. Stąd wraca do Kopaszewa i tu dowiaduje się, że w obozie internowania koło Elbląga, po rozbiciu oddziałów powstańczych, przebywa jego starszy o 4 lata brat, porucznik Franciszek Mickiewicz. Pod Warszawą został ranny w pierś i postrzelony w nogę. Dzięki swym wielkopolskim znajomym udaje się Adamowi uwolnić brata z internowania i sprowadzić do Łukowa koło Obornik do zaprzyjaźnionej rodziny Grabow-



Dwór w Konarzewie, fot. Zbigniew Szmidt

skich. Tu w wigilię Bożego Narodzenia 1831 roku, po siedmiu latach, dochodzi w końcu do spotkania braci. Franciszek Mickiewicz pozostaje w Wielkopolsce aż do śmierci w 1862 roku. Przebywa jako rezydent we dworach: najpierw w Łukowie, a następnie w Rożnowie, gdzie zostaje pochowany. Do połowy listopada Adam Mickiewicz nieustannie podróżuje. Jest przyjmowany w wielu pałacach i dworach w okolicy Rawicza, Ponieca, Kościana i Gostynia. Od połowy listopada do połowy grudnia przebywa w Konarzewie koło Rawicza, w majątku Kaliksta Bojanowskiego. Stąd, znów z przystankiem w Kopaszewie, udaje się do Objezierza koło Obornik do majątku hrabiego Turno, gdzie z krótką przerwą na odwiedziny w Łukowie, przebywa do 2 stycznia 1832 roku. Podczas swych wojaży Mickiewicz wielokrotnie spotyka się z Konstancją Łubieńską. Wieści o ich romanse docierają do męża Konstancji, który najpierw chce się pojedynkować z Mickiewiczem, a później nosi się z zamiarem rozvodu. Również o rozwodzie i opuszczeniu swych dzieci dla Mic-

kiewicza myśli Konstancja. Napiętą sytuację udaje się na pewien czas załagodzić Antoninie Gorzeńskiej. Mickiewicz wraca do Kopaszewa i na dłużej zatrzymuje się w Choryni. Tu od połowy stycznia do pierwszych dni marca 1832 roku, to jest do swego wyjazdu z Wielkopolski, przebywa w towarzystwie Stefana Garczyńskiego. Jednakże Konstancji zauroczenie Mickiewiczem nie mija. Odwozi go własnym powozem do Drezna. Zakłada na jego nazwisko specjalne konto, na które wpłaca znaczne sumy pieniędzy. Wkrótce po wyjeździe Mickiewicza, pod pretekstem udania się na kurację do Ems, jedzie do Paryża i spotyka się z nim. Dochodzi tam do sprzeczki, która kończy gorący romans. Zamienia się on w przyjaźń, która trwa przez lata. Prowadzą bardzo ożywioną korespondencję, a po śmierci Mickiewicza, Konstancja Łubieńska intensywnie i skutecznie zabiega o postawienie Mickiewiczowi pomnika w Poznaniu. Pomnik ten, jako pierwszy w Polsce stanął w 1859 roku na placu za kościołem świętego Marcina. Ze względu na to, że świadkowie tych wydarzeń



Pałac w Objezierzu, fot. Zbigniew Szmidt

wstydliwie milczeli, również biografowie Mickiewicza, początkowo, okres jego pobytu w Wielkopolsce marginalizowali. Głównie dla tego, że uznali, iż pod względem twórczym okres ten był bezpłodny. Nie była to jednak prawda. W Wielkopolsce, w Choryni powstała *Reduta Ordona*, dwa wiersze powstańcze: *Nocleg* i *Śmierć pułkownika* oraz ballada *Ucieczka*. Gdy po pewnym czasie opadły emocje i można było ówczesnym wydarzeniom spokojnie się przyjrzeć, okazało się, że pobyt w Wielkopolsce stanowił inspirację wielu postaci i zdarzeń opisanych w *Panu Tadeuszu*.

Pierwowzorem Telimeny była Konstancja Łubieńska. Kawiarka opisana w *Panu Tadeuszu*, to Maria Ciastkowska ze Śmielowa. Spór Turnów z Kwileckimi o pałac w Objezierzu posłużył jako wzorzec konfliktu Horeszków z Soplicami. Spór braci Bojanowskich o charty, przedstawiony został w *Panu Tadeuszu* jako spór Asesora z Rejentem o Kusego i Sokoła. Piękne opisy krajobrazu odpowiadają widokom widzianym z okien pałacu w Śmielowie, a na skrzyżowaniu dróg koło Brzostkowa, stała jeszcze do lat 60. ubiegłego

wieku Karczma Jankiela. W roku 1887 zadłużony majątek Gorzeńskich w Śmielowie kupuje Franciszek Chełkowski. Zmowa milczenia wokół pobytu Mickiewicza ustaje. Chełkowscy są dumni, że w należącym obecnie do nich pałacu przebywał wieszcz. Kolekcjonują pamiątki po nim. Tworzą kult Mickiewicza. W przypałacowym parku, na cokole instalują medalion upamiętniający pobyt Mickiewicza. Z racji propagowanego tam kultu Mickiewicza, pałac w Śmielowie odwiedza wiele znanych osobistości końca XIX i początku XX wieku: Henryk Sienkiewicz, Ignacy Paderewski, Wojciech Kosak i wielu innych. Na początku wojny, w 1939 roku, Niemcy wyrzucają Chełkowskich z pałacu. Po wojnie z majątku Chełkowskich powstaje PGR, a pałac zajmuje szkoła podstawowa. W 1974 roku zdewastowany pałac przechodzi generalny remont i zostaje przekazany Muzeum Narodowemu w Poznaniu z przeznaczeniem na muzeum Adama Mickiewicza, które do dnia dzisiejszego tam działa i kultywuje pamięć po pobycie wieszca w Wielkopolsce.

Sebastian IGNASIAK

Pierwsze lata Parafii NSP Jezusa w Śremie w zapiskach Władysława Kozielczyka

Część 1

Kilka lat temu przeglądając karton z pamiątkami po Władysławie Kozielczyku, natrafiłem na zeszyt, którego przednia część okładki zwróciła moją uwagę. W miejscu zostawionym zwyczajowo na nazwę (np. przedmiotu szkolnego) wid-

niał tytuł: Kronika Parafii NSP Jezusa Śrem-Jeziorany. Postanowiłem zapoznać się z jej zawartością. Kronika założona została w zeszycie w szerokie linie, który liczy 120 kartek. Zapisy zajmują 51 stron, z czego 50 wypełniają całko-



W. Kozielczyk z ks. F. Koniecznym, patronem ministrantów



Czytanie Pisma św. w czasie niedzielnej mszy św. w kaplicy. Czyta W. Kozielczyk, z lewej ks. proboszcz Elegaińczyk, rok 1978



Przygotowanie ołtarza do pierwszej procesji Bożego Ciała. Pierwszy od prawej W. Kozielczyk, rok 1978

wicie. Autor podzielił ją na dwie części. Pierwsza z nich jest obszerniejsza i zawiera w sumie 208 wpisów, które dotyczą lat 1976–1985. Druga z kolei znacznie skromniejsza (rozciąga się na 4,5 stronach) i obejmuje l. 1985–1991. Umieszczono w niej 71 zapisów. Wszystkie są źródłem cennych informacji o budowie kościoła materialnego (wznoszenia świątyni) i instytucjonalnego (organizowania życia religijnego parafian). Odnotowano tam również wydarzenia ważne dla kościoła poznańskiego, krajowego i światowego (zgon abp. Antoniego Baraniaka, śmierć papieża Pawła VI i Jana Pawła I, wybór Jana Pawła II na tron Piotrowy, rozpoczęcie pontyfikatu przez Jana Pawła II, powierzenie funkcji abp. poznańskiego Jerzemu Strobie). Nie wiemy nic na temat

okoliczności powstania Kroniki. Czy czynność spisywania historii parafii podjął Kozielczyk z własnej inicjatywy? Czy może z inspiracji ks. prob. Bogdana Elegañczyka? Miał co prawda doświadczenie w utrwalaniu dziejów organizacji w tej formie, gdyż przez rok (1968–1969) sprawował stanowisko kronikarza Towarzystwa Upiększania Miasta Śremu. Czy podzielił się z kimkolwiek wiedzą o jej prowadzeniu? Nie potrafimy na razie udzielić odpowiedzi na te pytania. Może któryś z czytelników posiada jakąś wiedzę w tych kwestiach? Ale umiemy powiedzieć wiele o samym kronikarzu. Ten rodowity śremianin, który przyszedł na świat 5 kwietnia 1926 roku, od najmłodszych lat silnie związany był z wiarą katolicką i instytucją Kościoła rzym-

Kronika Parafii N. S. P. Jezuśa
Sreń - Jezuśany -

28. 11. 76. Dechub. Ks. Prezbiter - od chis' mie.
 i N-12 Adw. dniei iolai utwornoy Omodek
 Dymparterski przy kaplicy na
 Jezuśonach. Oto jego hesc.

Otwarcie Priors. Parafialnego. Wyżmu
 słotki i ciwastki od 10⁰⁰-12⁰⁰ : 17⁰⁰-
 18⁰⁰

19. 12. 76. Ks. Prezbiter na miocch Ks. Pobo-
 nna wyprawił i podł na odprawianiu
 dwóch karserek z kaplicy o 22⁰⁰ i 0⁰⁰

25. 12. 76 a) Pierwe śmija Boiego Nandheura

26. 12. 76 z kaplicy na Jezuśonach.

b) i Kolęda

c) Zakochanemi wtm.



Kaplica pod wezwaniem MBNP w kościele, rok 1977

skokatolickiego. Już jako 9-latek został przyjęty do koła ministrantów, które funkcjonowało przy Parafii NMP Wniebowziętej w Śremie (fara). Służbie przy ołtarzu poświęcił całe swoje życie. Pracował dla dobra wszystkich śremskich parafii. W 1972 roku zamieszkał na Jezioranach. Włączył się czynnie w budowę nowego kościoła. Od lipca 1978 roku brał udział w zbiórkach datków na budowę kościoła jeziorańskiego, które przeprowadzano w Parafii pw. Ducha Św. i Parafii NMP Wniebowziętej. Był pierwszym kościelnym w dziejach Parafii NSP Jezusa. Następnie pełnił funkcję jej zakrystianina i prowadził biuro parafialne. Działal społecznie na terenie miasta. Przez wiele lat zasiadał we władzach Towarzystwa Upiększania Miasta Śreму, gdzie piastował m.in. stanowisko prezesa (1972–1975). Wchodził w skład zarządu Koła Śpiewackiego „Moniuszko”. Pracował aktywnie w związkach zawodowych w Odlewni Żeliwa w Śremie. Zmarł 4 grudnia 1997 roku w Śremie i spoczął na Cmentarzu Parafialnym.

Kronika pochodzi z archiwum Haliny Włodarczak, córki Władysława Kozielczyka.

Wyjątki z Kroniki

28.11.76.

Dekretem Ks. Arcybiskupa od dziś I niedzieli Adwentu został utworzony Ośrodek Duszpasterski przy kaplicy na Jezioranach. Oto jego treść. Otwarcie Biura parafialnego. Czynne wtorki i czwartki od 10.00-12.00 i 17.00-18.00.

19.12.76.

Ks. Arcybiskup na wniosek Ks. Proboszcza wyraził zgodę na odprawienie dwóch pasterek w kaplicy o 22.00 i 0.00.

25.12.76.

a) Pierwsze Święta Bożego Narodzenia.

26.12.76.

Z kaplicy na Jezioranach

b) I kolęda.

9.1.1977.

Kuria Metropolitalna wyraziła zgodę na uznanie Parafii na Jezioranach. Gotowy jest projekt nowego kościoła i złożony do władz państwowych. Wykonany zostanie również model plastyczny w skali i ustawiony przy drodze do kaplicy.

16.1.77.

Od niedzieli wprowadza się mszę św. wieczorną o godz. 19.00.



Śrem w czasach młodości W. Kozielczyka

Również wprowadzone będzie nabożeństwo do Matki Boskiej Nieustającej Pomocy co środę. Zaprowadzi je Ks. Infułat Bernard Czajka, Prob. Par. Farnej z Poznania, sławnej z nowenn ku czci Matki Bożej.

13.2.77.

20 lutego o 16.00 msza św. i po niej uroczyste nabożeństwo inicjujące Nabożeństwa Nieszporne do M. Bożej.

1.4.77.

Podjął pracę pan kościelny Stanisław Ratajczak.

1.5.77.

Władze Miasta i Gminy dn. 26. 4. 76 r. zatwierdziły wstępny projekt naszego kościoła. Dokumenty podpisał Naczelnik Miasta i Gminy pan Mieczysław Wawrzyniak – przedostatni etap spraw przed oficjalnym rozpoczęciem budowy. Pan inż. Holas przygotował dokumentację szczegółową projektu dla władz.

15.5.77.

Podziękowanie panom malarzom za wymalowanie kaplicy na uroczystość I Komunii Św.

22.5.77.

I Komunia Święta dzieci. Podziękowania za dary dla Parafii od dzieci.

6.6.77.

I procesja Bożego Ciała na parking przy blokach na Zawadzkiego 4, 6, 8. Ołtarze będą na parkingu. Po procesji Pan Jezus odniesiony do

kaplicy. W czasie oktawy procesje wokół kaplicy aż do zakończenia.

19.6.77.

Uroczystość Serca Pana Jezusa. I odpust w naszej Parafii – procesja wokół kościoła o godz. 18.00. Sumę odpustową odprawi Ks. Z. Thimm – dziekan. Kazanie wygłosi Ks. J. Kajetańczyk – proboszcz z fary.

19.6.77.

Poświęcenie sztandaru Matek. Ufundowany dla naszej parafii. Ks. W. Simiński, proboszcz z Brodnicy, z okazji dzisiejszej uroczystości ofiarował wartościowy obraz Serca Jezusowego, który był własnością Ks. Bp. Franciszka Jedwabskiego.

2.7.77.

I pielgrzymka naszej Parafii do Borku razem z parafią Fary.

17.7.77.

Wykonano kosztorys pod zadaszenie przed kaplicą i gabloty ogłoszeniowe. Zakupiono z ofiar dywan pod ołtarz oraz chodnik przed kościołem z okazji ślubów. Zaprojektowano wzorce proporczyków i dekoracji bloków na Nawiedzenie naszej parafii przez obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.

24.7.77.

Podziękowanie za wykonanie modelu projektu kościoła. Bóg zapłać za pracę przy tym dziele.

Ewa NOWAK

Kaseta magnetofonowa

Rzeczy minione

Ojczyzną kasety jest Holandia. W 1962 roku, w fabryce Philipsa, na pomysł jej skonstruowania wpadł inżynier Lou Ottens. Po roku pracy nad nowym produktem, kaseta kompaktowa (Compact Cassette) została zaprezentowana na Radio Show w Berlinie. Pierwsze kasety były w domyśle przeznaczone dla osób, od których nagrywanie dźwięków wymagała praca zawodowa. Jednak ich zalety zostały bardzo szybko zauważone przez nastolatków i przedstawicieli branży muzycznej. Przyczyniło się do ogromnego wybuchu popularności tego medium w latach 70. i 80. XX wieku. Polsko-kasetowa zażyłość najbardziej rozwinęła się mniej więcej w czasach transformacji. Liberalna „ustawa Wilczka” z 1988 roku pozwalała na „swobodne” korzystanie z dóbr sztuki bez większego zwracania uwagi na samych twórców, w myśl zasady „co nie jest zakazane, jest dozwolone”. W realiach raczkującego kapitalizmu firmom zajmującym się

wszystkim, co może tylko przynieść zysk, trudno było przegapić taką okazję. Dużą rolę odegrała też kwestia praktyczna – z archaicznych pocztówek dźwiękowych, czy zajęchanych analogów powoli nie dało się już wydobyć resztek dźwięku, a niepraktyczne szpule zaczęły znajdować swoje miejsce w piwnicach, na strychach i wysypiskach, tuż obok niemodnych gramofonów. Zgrabne, łatwe w obsłudze i zajmujące niewiele miejsca kasety, atakowały zewsząd, a miliony rodaków zaopatrywały się w taśmy w bazarowych szczękach i na wszechobecnych łózkach polowych.

Złota era kaset skończyła się jednak niemal tak szybko, jak się rozpoczęła. Na przełomie lat 80. i 90. coraz większą popularnością zaczęły cieszyć się odtwarzacze cyfrowe. Płyty CD wypchnęły z rynku kasety magnetofonowe, tak jak wcześniej kasety wypchnęły z rynku płyty winylowe.



Foto. B. Barwiński

Leszek MAŃKOWSKI

Wojenne dzieciństwo

Opowieści mojej mamy. Część 3

Mama, Waleria Mańkowska z d. Tomczak mieszkała w Lucinach. Miała pięć lat, gdy wybuchła wojna. Chodziła do niemieckiej szkoły w Dąbrowie, pracowała w polu. Dużo miejsca w jej wspomnieniach zajmują opisy bardzo różnych ludzkich zachowań w tamtych trudnych czasach. Do dziś pozostały związane z tym emocje...

Oto dalszy ciąg opowieści o latach wojny.

My, dzieci, baliśmy się chłopaków z Hitlerjugend. Było ich może około dwudziestu, mieszkali w budynku szkoły. Bywało tak, że wychowawczyni zaprowadzała ich na pole – tam, gdzie my musieliśmy pracować, np. zbierać ziemniaki po zbronowaniu pola. Byli po ustawiani między nami i robili nam na złość. Bo rzucił któryś ziemniaka do tyłu i wyglądało, jakbyśmy niedokładnie zbierali. A za to były kary. Takie to były wygłupy tych dryblasów. Ale nie słyszałam, żeby kogoś pobili.

Przy polnej drodze prowadzącej do Bnina były dwa olbrzymie klony. Rosły naprzeciw siebie, po obu stronach drogi. Na jednym wisiał krzyż z pasyjką. Niemka, która była urzędniczką na majątku i pracowała u Schulza w kasie, ściągnęła ten krzyż. Zdeptała i wyrzuciła gdzieś w pole. Później, chyba w czasie żniw moja ciotka znalazła w polu ten krzyż i przyniosła do naszego domu, do babci. Bardzo to było zniszczone, ale po wojnie moja mama kazała ten krzyż z powrotem zawiesić tam, gdzie wcześniej był. Przez wiele lat wisiał taki zniszczony i przypominał, co w czasie wojny tam się zdarzyło. Teraz jest odnowiony.

Gdy miałam jedenaście lat widziałam, jak źli potrafili być niektórzy Polacy. Był styczeń 1945 roku, śnieg i silny mróz... Zbliżał się koniec

wojny i Niemcy już uciekali. Kolumny zaprzężonych w konie wozów podążały szosą w kierunku od Zaniemyśla na Śrem. To były cywilne rodziny niemieckie. A ludzie, nie tylko z Lucin, bo nawet z okolicznych wiosek biegli do szosy i ściągali z tych uciekinierów pierzyny, kołdry, koce... Co kto mógł to zabierał. Moja mama też tam poszła, ale gdy zobaczyła co tam się dzieje, to zaraz wróciła. Mówiła, że ją brzuch rozboleł, jak zobaczyła tych ludzi, te wymarzniete dzieci trzęsące się z zimna na wozach... i tych, co ściągają z nich co tylko się da... A ja z moją siostrą Stasią z dziecięcej ciekawości tam pobiegłyśmy i też zdobyłyśmy „wojenny łup” – duży portfel pełen rozmaitych zdjęć. Leżał na ziemi, widocznie spadł z któregoś wozu. No i było trochę śmiechu w domu, gdy rodzina zobaczyła tę naszą zdobycz. Ale tak naprawdę, to nie do śmiechu mi było. Byłam tam i widziałam, jak ci nasi ludzie się zachowywali, jak kradli, rabowali. Przeżywałam to mocno, miałam już jedenaście lat.

I w tym samym czasie zjechała do wsi jedna rodzina niemiecka, dziadkowie z wnukami, małymi dziećmi. Pewnie zabrakło im jedzenia, więc opuścili kolumnę uciekinierów. Schowali się w oborze. Ojciec tych dzieci był na froncie, matka zginęła po drodze, gdzieś tam na rowie leżała... i dlatego ci dziadkowie tylko z wnukami byli. Schowali się w oborze. Moja babcia upiekła dla nich bochen chleba i dała bańkę gorącego mleka. A ja i Stasia zaniosłyśmy im to. Po kilku dniach wyjechali.

Schulz też uciekał do Niemiec. Nasi ludzie, m.in. mój dziadek, musieli odwozić tego kata władającego lucińskim majątkiem i znęcającego się nad ciężko pracującymi ludźmi. Jak dziadek pojechał w styczniu, to wrócił dopiero w maju. Przez kilka miesięcy pracował tam



Klon z odnowionym krzyżem. Luciny 2023. Fot. L. Mańkowski

w Niemczech u jakiegoś gospodarza. Mówił, że był dobrze traktowany. Nie wiem, czy nie mogli, czy sami nie chcieli zaraz wracać, ponieważ trwały jeszcze walki i było niebezpiecznie.

Dziadek wracał z Niemiec furmanką, razem z nim jechał p. Rószczka. Wrócili akurat na 3 maja, tak jak dziadek sobie marzył. Opowiadał potem, jakie mieli po drodze przygody z ruskimi żołnierzami. Zatrzymywali ich, szukali wartościowych rzeczy, by je zagrabić. Dziadek miał kieszonkowy zegarek na łańcuszku, jak wtedy je noszono. Czuł, że mogą mu go zabrać, więc go nie nakręcał. I to okazało się skuteczne, bo gdy jeden z ruskich brał już zegarek, to dziadek się mu na to zgodził mówiąc: chcesz, to bierz, on i tak jest zepsuty. A „zepsutego” tamten nie chciał...

Wtedy po raz pierwszy poznałam smak czekolady. Dziadek przywiózł ją z Niemiec. A dostał ją od żołnierzy amerykańskich i dobrze ją na wozie schował. Była w okrągłych białych puszkach. I było jej tak dużo, że wystarczyło jeszcze

dla moich trzech kuzynek mieszkających po sąsiedzku.

Z niemieckiej niewoli wracali żołnierze radzieccy i na kilka dni zatrzymali się w Lucinach. Było ich tak wielu, że ulokowano ich w każdym domu, w niektórych nawet po dziesięciu ludzi. Spali na rozłożonych na podłodze, wypchanych słomą siennikach. Akurat ci u nas byli grzeczni, ale niektórzy się brzydko zachowywali. Wielu chodziło po wsi pijanych i dziewczęta chowały się przed nimi po piwnicach. Nasi mężczyźni wyznaczyli sobie takie nocne dyżury, patrole. Chodzili po wsi, żeby ruscy nie robili jakiegś grandy. Zabijali świnie, które zostały jeszcze po majątku. Pamiętam, jak ugotowali takie tłuste jedzenie i zapraszali, żeby z nimi „kuszać”. Ale mój tata nie chciał, nie lubił tłustego mięsa. Tyle mieliśmy lepiej, że ci „nasi” mieli swojego kucharza. Bo gdzie indziej bywało, że kobiety musiały dla nich gotować. Jeden z tych ruskich żołnierzy, którzy byli u nas mówił po polsku. A gdy ujrzał obraz Matki Boskiej na ścianie, powiedział, że tam u siebie też „matuchnę” mają.



Budynek dawnej szkoły. Obecnie świetlica wiejska. Luciny 2023. Fot. L. Mańkowski

Brał na kolana moją siostrę Stasię (nazywał ją Kasia) i mówił, że taką córeczkę ma w domu i że „może dożyję i dojdę, i się spotkamy”.

W 1939 roku do wojska poszło kilku mieszkańców wsi. Nie wszyscy wrócili. Jeden zginął na wschodnim froncie, inni trafili do niewoli sowieckiej. Zapamiętałam, że potem dwóch z nich walczyło pod Monte Cassino, byli to Piotr Ryszka i Stanisław Krajewski. Po powrocie dużo opowiadali o tych walkach. Co prawda, to niewiele z tego wtedy rozumiałam...

Przez całą okupację kościół w Zaniemyślu był nieczynny, zamieniony na magazyn. Najbliższy kościół mieliśmy w Bninie. W lutym 1942 roku urodził się mój brat Czesiu i rodzice tam zawieźli go do chrztu. Na miejscu okazało się, że kościół w Bninie kilka dni wcześniej się zawalił. Dziecko zostało więc ochrzczone w mieszkaniu księdza proboszcza.

W Zaniemyślu kościół otwarto w kwietniu 1945 roku, wtedy wrócił nasz proboszcz ks. Ewaryst Nawrowski. Rozpoczęły się przygotowania do pierwszej komunii świętej, która odbyła się w czerwcu, na Piotra i Pawła. Przeżycie było w kościele, tam było to najważniejsze. A w domu? Nie było rodzinnego przyjęcia, ani

prezentów. Odświętnym akcentem był drożdżowy placek. Był jeszcze jeden powód, że nie zapraszano rodziny czy znajomych. Prawie w każdym domu było dziecko komunijne, bo uzbierało się nas dużo przez te lata wojny. Ja szłam do komunii razem ze starszym bratem, Heniem. Do dziś mam fotografię, pamiątkę tamtego dnia.

Wielka uroczystość była, gdy otwierano znowu szkołę w Lucinach. Przyjechał nauczyciel p. Rajewski z Mechlina, bo nasz przedwojenny nauczyciel p. Grawiński nie zdążył jeszcze wrócić z niewoli. Przyszło wielu ludzi, było też kilku żołnierzy polskich, był sztandar. Ja, 11-letnia dziewczynka wyrecytowałam wiersz Konopnickiej *Nasz sztandar* i zebrałam dużo okłasków. A podczas śpiewania *Boże coś Polskę* wielu ludzi płakało ze wzruszenia... Rozpoczęła się nauka, znów w naszej szkole w Lucinach. Tak jak przed wojną była to szkoła czteroklasowa. Od piątej klasy musiałam chodzić do Dąbrowy.

Ale to już temat na inną opowieść...

Marceli SZCZĘŚNY

Nie tylko o „Gondoli”

SENTYMENTY

Nie może istnieć życie bez wody. Ta prawda, znana ludzkości od samego zarania, sprawiła, że gdy ustały wędrówki ludów, starano się osiedlać nad brzegami rzek czy też jezior. Uczynili to również nasi śremscy protoplaści, obierając na swoją siedzibę tak zasobną w wodę okolicę.

Nie miejsce tu, aby omawiać wszelkie dobrodziejstwa, jakie daje woda, ograniczę się więc tylko do sportów wodnych, a ściślej do wioślarstwa. W felietonie *Murzynek* (por. „Głos” nr 8(14)1985) wspomniałem o istnieniu wypożyczalni łódek obok Łazienek w pobliżu tartaku. Obydwa przedsięwzięcia prowadził Niemiec Matus jeszcze za czasów zaborów i krótki czas po I wojnie. Normalne, czasowe zużycie materiałowe nie pozwalało już dłużej eksploatować ani łodzi, ani Łazienek. Dłuższy natomiast ży-

wot miała w swej ciągłości gimnazjalna drużyna wioślarska. Był to prawdziwie wioślarski klub sportowy z łodziami o ruchomych siedzeniach na rolkach. W czarnym drewnianym baraku na słupkach, naprzeciw młyna Szczepskiego, przechowywano dwie czwórki ze sternikiem, dwie dwójki ze sternikiem i jedynekę – skiff. Piękny widok przedstawiały te śmigłe łodzie, gdy ukazywały się na rzece. Z przyjemnością oglądało się rytmiczne, równe uderzenia wiosel umieszczonych w dulkach przymocowanych na wysuniętych z boku stalowych obudowaniach. Dzisiaj takie łodzie oglądamy tylko w telewizji z okazji zawodów. Naukę wioślarstwa rozpoczynało się na dwójce. Najtrudniejsze było opanowanie jedynek, która nie miała sternika. Tylko nieliczni mogli chwycić za wiosła w skiffie. Wyprawa



Chrzest kajaka „Lwów”



Wyprowa czwórka „Wanda” do Gdańska, 1930

każdej łodzi rozpoczynała się pływaniem pod prąd, ażeby po zmęczeniu łatwiej było wracać z nurtem rzeki. Najkrótsza trasa prowadziła do Łęgu, dłuższa – całodzienna – do Białego Gościńca i Zwoli. Opiekun drużyny, prefekt gimnazjum, ks. Mieczysław Matuszek (zginął w Dachau w 1942 r.), był zapalonym miłośnikiem wioślarstwa. W latach 1929/1930 zorganizowano dwie dłuższe wycieczki wodne czwórki ze sternikiem. „Goplana” ze sternikiem Uszowskiem i wioślarzami: Janietzem, Friedelem, Surdykiem i A. Ronkiem przepląnęła 1283 km na trasie: Śrem, Poznań, Bydgoszcz, Kruszwica, Konin, Śrem, Poznań. Natomiast czwórka „Wanda” ze sternikiem Idaszewskim i wioślarzami: Fr. Chudobą, Bońdą, Ilskim i Jankowiakiem – 1102 km na trasie: Śrem, Poznań, Obrzycko, Ujście, Bydgoszcz, Chełmno, Grudziądz, Tczew, Gdańsk, Bydgoszcz, Konin i Śrem. Zbudowany przez Łożyńskiego i Friedela w roku 1930/31 kajak „Lwów” oraz w roku 1931/32 kajaki „Mik” i „Rakieta” poszerzają zakres działalności sekcji wioślarskiej, której dorobek za lata 1927-38 to przebyte 14983 km. W okresie międzywojennym istniała też prężna harcerska drużyna wioślarsko-żeglarska posiadająca jedną żaglówkę i kilka kajaków. Drużynę tę prowadził Władysław Liberski. Swoją sekcję wioślarsko-żeglarską miała również harcerska drużyna pozaszkolna im. Tadeusza Rejtana (jedna łódź

wioślarska na cztery wiosła zamieniana też na żaglówkę). Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej w swojej sekcji wodnej posiadało 3 kajaki zbudowane w stolarni Chojnackiego w Śremie. Pływało też po Warcie wiele prywatnych drewnianych kajaków. Te lekkie, sprawne i tanie łódki znacznie ożywiły śremskie akweny. Opiekun gimnazjalnej drużyny wodnej utworzył przy III moście na tzw. Starej Warcie przystań zwaną „Gondolą”. Znajdowało się w niej kilka łodzi, którymi wszyscy amatorzy wioślarstwa mogli popłynąć „martwą” rzeką obok mechlińskiego lasu. Mimo że łodzie były ciężkimi, mało zwrotnymi kryptami, cieszyły się dużym powodzeniem. Najczęściej w niedzielę korzystali z nich młodzi, którzy dość lekkomyślnie staczali „bitwy morskie”. Na szczęście kończyły się one najwyżej zmoczeniem ubrań.

Popularne były organizowane przez Ligę Morską i Rzeczną, wycieczki wodne po Warcie. Te, za skromną opłatą, „rejsy w nieznane” odbywały się najczęściej w górę Warty, do Białego Gościńca czasem i do Nowego Miasta. Pasażerowie pływali na statkach motorowodnych „Iskra” i „Kama”. „Popiel” holował duże barki – szkuty wypełnione amatorami wycieczek.

A dziś? Ani „Gondoli”, ani kajaków na Warcie, a i ona sama jakby inna... Szkoda.

Przedruk z „GŚ” 08/1986

Ryszard ROSZYK

750-lecie Śremu

Wspomnienia mierzone kilometrami Warty

Część 6

Tym razem sięgnę pamięcią do wydarzenia, które miało miejsce na Warcie, równo dwadzieścia lat temu. W 2003 roku obchodziliśmy 750. rocznicę nadania praw miejskich naszemu miastu. Z tej okazji odbywało się w Śremie sporo róż-



nych okolicznościowych imprez. Były wystawy, inscenizacje, występy zespołów, spotkania, konkursy, zawody sportowe, okolicznościowe publikacje...

Jednym z tych wydarzeń, dla uczczenia okrągłego jubileuszu, było przepłynięcie 75 kilometrów z biegiem Warty przez członków Klubu Wodnik. Inicjatorem tego pomysłu był Roman Bartkowiak, który już wtedy znany był w kraju z wielu sukcesów pływackich w kategorii wiekowej masters. Postanowił pokonać ten dystans, „za jednym zamachem”, bez kontaktu z lądem. Romanowi towarzyszyło 23 pływaków z klubu „Wodnik”- najmłodszy miał 7 lat, płynących w systemie sztafety, wymieniających się co kilka kilometrów. Intensywne przygotowania do tego wydarzenia rozpoczęły się dużo wcześniej. Uczestnicy brali udział w intensywnych treningach wytrzymałościowych. Organizowano zabezpieczenie logistyczne i wszystkie sprawy organizacyjne.

Start do tego, bądź co bądź wyczynu miał miejsce bardzo wcześnie rano, pewnego lipcowego dnia na 367 kilometrze Warty, czyli w Łądzie. Wystartowali razem: Roman Bartkowiak oraz sztafeta Klubu Wodnik.

Wydarzenie to było dobrze rozpropagowane w naszym mieście (plakaty, lokalna prasa), dla-

tęgo w jakiś sposób chciałem być tego świadkiem. Postanowiłem więc wypłynąć sztafecie naprzeciw, by ich obserwować i kibicować im na ostatnich kilometrach dystansu. Około godziny 11.00 zwodowałem kajak pod naszym mostem i zaopatrzyłem w skromny prowiant, przy pięknej słonecznej pogodzie, skierowałem się w górę Warty. I tak, poruszając się z prędkością 5 do 6 kilometrów na godzinę, płynąc wzdłuż prawego, a czasem lewego brzegu Warty, pokonywałem kolejne kilometry. Pokonywanie rzeki kajakiem pod prąd wymaga znajomości zachowania się nurtu rzeki. Wybiera się miejsca blisko brzegu, gdzie nurt jest wolniejszy, a tam gdzie występują ostrogi, wykorzystuje się tak zwaną cofkę, czyli wolny przepływ wody w kierunku przeciwnym do głównego nurtu. Ostrogi to budowle hydrotechniczne, wychodzące poprzecznie z brzegu w koryto rzeki. Buduje je na brzegach wypukłych i po obu brzegach w przejściach, aby przyspieszyć przepływ wody i zlikwidować proces powstawania mielizn. Po około dwóch godzinach wiosłowania minąłem pole biwakowe w Kotowie (302. kilometr Warty). Zakładałem, że gdzieś w tych okolicach powinienem spotkać naszych pływaków, ale nikogo nie widzę. Płynę więc dalej. Mijam ruiny Białego Gościńca i nadal nic. Jest w miarę wczesna pora, więc nadal wiosłuję, poruszając się pod prąd, mijając kolejne tablice kilometrowe. Pozostawiam za sobą zarośnięte ujście rzeczki Moskawy, a pływaków nie ma. Płynę dalej, jednakże po minięciu tablicy kilometrowej z oznaczeniem 313 i pojawieniu się z prawej mojej strony (w rzeczywistości na lewym brzegu – bo patrzę pod prąd Warty) zza wału przeciwpowodziowego wieżyczki kościółka w Gogolewie, zacząłem zastanawiać się, co robić dalej. Jest prawie godzina 15., a ja jeszcze muszę zaplanować swój powrót do Śremu. Wsiadłem na lewym brzegu Warty w miejscu, gdzie dzisiaj jest urządzona przystań. Przychoǳą mi do głowy niepokojące myśli – może wydarzyło się coś złego? Czy maraton odwołano? Ale pogoda cały czas jest piękna, słoneczna, sprzyjająca płynięciu. Wyjąłem swój prowiant w postaci dwóch bułek z wędliną i serem, bo wyraźnie poczułem głód. Rozmyślając dalej,

postanowiłem, że będę tu na nich czekał maksymalnie do godziny 17. Siedzę więc na brzegu i wypatruję. Nie oddałem się od brzegu, bo mógłbym przeoczyć oczekiwanych pływaków. Około godziny 16. pojawia się biały stateczek, a w pobliżu niego dwóch pływaków. Towarzyszy im również mniejsza motorówka, która asekuruje płynących. Poczuję radość z tego, że tak duże przedsięwzięcie jakim było przepłynięcie 75 kilometrów Wartą przebiega pomyślnie oraz, że moje wiosłowanie 20 kilometrów pod prąd Warty i mój plan skromnego uczestnictwa w tym przedsięwzięciu też się uda. Wsiadłem do kajaka i podpływam do stateczku i pływaków. Jednakże nie widzę w wodzie Romana. Pytam co się stało, że go tu niema. Uzyskuję odpowiedź, że Roman płynie swoim tempem, jest kilka kilometrów za nami, a sztafeta płynie przód. Na stateczku widzę sporą grupę, około 20 osób, przeważnie młodych pływaków, dziewcząt i chłopaków. Jest jednak wśród nich osoba wyraźnie odstająca wiekiem – to pan Jakuszek – senior. Na stateczku sympatyczny, wesoły nastrój, pełen luz. Od czasu do czasu komentarze dotyczące płynących na aktualnej zmianie. Co kilometr, a może co dwa, następuje zmiana w sztafecie. Dwóch następnych uczestników wskakuje do wody wymieniając tych, którzy dotąd płynęli. Płyniemy razem i co jakiś czas dołącza do nas kolejna motorówka. I w ten sposób mijając kolejne kilometry Warty, dopływamy do Śremu. W pobliżu przedszkola i muzeum, wszyscy uczestniczący w sztafecie, wskakują do wody i razem płyną ostatni kilometr dystansu. To naprawdę był niezapomniany widok. Na powitanie bohaterów, na moście zebrało się sporo mieszkańców Śremu. Również sporo ludzi oczekiwało tuż za mostem, na łączce, na prawym brzegu rzeki. Uczestnicy sztafety witani oklaskami wychodzą na brzeg około godziny 19.30. Dystans 75 kilometrów Warty został pokonany w czasie około 13 godzin. Ale na miejscu nadal brak głównego bohatera i inicjatora tego wydarzenia, Romana Bartkowiaka. Ruszając tego dnia na spotkanie pływaków, nieco inaczej wyobrażałem sobie finał. Wiedząc, że Roman nadal wytrwale pokonuje zaplanowane 75 kilometrów, a moim zamiarem

było mu towarzyszyć w ostatnich kilometrach tego przedsięwzięcia, postanowiłem mimo dość późnej pory udać się na spotkanie z nim. Płynę moim żółtym kajakiem ponownie pod prąd, wypatrując motorówki towarzyszącej Romanowi. Pokonuję trzy, może cztery kolejne kilometry pod prąd. Docieram do Kawcza, sporo za miejscem, gdzie obecnie mamy most na obwodnicy. Tam dopiero spotykam pływaka, najważniejszego dzisiejszego dnia. Płynie prawie w całkowitej ciszy, równo pracując rękoma. Ledwo słyszalna jest praca silnika motorówki. Podpływam do motorówki i pytam jak on się czuje. Słyszę cichą odpowiedź: są kłopoty, ale Roman się nie poddaje. Na pokładzie motorówki poznałem Tomka Bartkowiaka, syna Romana, młodego wówczas lekarza oraz Teofila Różańskiego, redaktora sportowego Telewizji Poznań, który kiedyś prowadził coniedzielne lokalne wiadomości sportowe, a szczególnie zaangażowany był w propagowanie sportowego pływania. Motorówka asystująca Romanowi płynie środkiem Warty, a ja trzymam się blisko prawego brzegu. Kilka razy przed dziobem mojego kajaka pojawiają się bobry, które o zmierzchu budzą się do swojej aktywności. Niektóre z nich spokojnie odpływają w stronę brzegu, a inne z głośnym pluskiem uderzenia ogona o wodę nurkują. Roman równomiernie w swoim tempie zagarnia ramionami wodę płynącą stylem dowolnym czyli crawl. Mijamy ostatni zakręt Warty i ukazują się oświetlony most. Widać już cel tego przedsięwzięcia. Roman jest blisko sukcesu. Na moście stoi niewielka grupa mieszkańców, dużo mniejsza niż ponad godzinę temu. Przeplływamy w pobliżu tablicy kilometrowej oznaczonej numerem 292. Jest już prawie całkiem ciemno, kiedy cel zostaje osiągnięty. Motorówka, która towarzyszyła Romanowi przez cały dystans popłynęła nieco dalej, natomiast ja moim kajakiem próbowałem skutecznie ukierunkować bohatera dzisiejszego dnia do prawego brzegu, gdzie można było wygodnie wyjść z wody, i gdzie oczekiwali na Romana mieszkańcy miasta, członkowie klubu, znajomi oraz burmistrz. Kilka metrów od brzegu Roman czując dno Warty, wstaje i chwiejnym krokiem wychodzi na brzeg witany uściskami, owacjami i oklaskami. Za-

mierzony cel został osiągnięty, choć wymagało to niezwykle hartu ducha, wysiłku i również cierpienia, o czym dowiedzieliśmy się później. Ja, będący skromnym tłem do tego wydarzenia, popłynąłem moim kajakiem kilkadziesiąt metrów pod prąd Warty, w pobliżu mostu, by również zakończyć dzisiejszą przygodę z uczczeniem ważnej dla naszego miasta rocznicy. Po około 5 godzinach nieprzerwanego siedzenia w kajaku z trudem z niego wysiadłem. Wtedy poczułem silny głód, gdyż od czasu gdy dołączyłem do sztafety pływaków z klubu Wodnik w pobliżu Gogolewa nic nie jadłem. Niosąc kajak na parking pod mostem, gdzie stał mój samochód, wydawało mi się, że jest on dużo cięższy, niż w rzeczywistości. Niestety, to nie kajak był cięższy, ale to ja byłem słabszy po tym całodziennym wiosłowaniu. Z trudem załadowałem kajak na belki bagażnika samochodu i zamocowałem go pasami i podjechałem pod dom na Jezioranach, pozostawiając samochód z kajakiem pod blokiem.

Po przybyciu do domu, najważniejszą rzeczą była porządna kolacja. Zaraz po niej udałem się na nocny odpoczynek. Zmęczenie nie pozwalało mi długo zasnąć. Już w przeszłości doznałem tego, że z powodu dużego wysiłku nie przespałem więcej niż pół nocy. A było to dawno, kiedy z kolegą w ciągu jednego dnia pokonałismsy na rowerach trasę z Lubonia do Kołobrzegu. Tym razem nie mogąc zasnąć, podsumowywałem udany dzień. Łącznie tego dnia przeplynałem kajakiem około 50 kilometrów pod prąd Warty i z powrotem, siedząc w kajaku około 10 godzin. Wszystko bez specjalnego przygotowania kondycyjnego. Być może właśnie od tego czasu zacząłem starannie planować dłuższe wyprawy kajakowe, które później się udało mi zrealizować.

Roman Bartkowiak, bohater tego dnia, z pewnością bardziej niż ja zmęczony, ale na pewno szczęśliwy z osiągniętego celu, też na pewno długo nie mógł zasnąć. Przeplynał 75 kilometrów w 14 godzin 19 minut i 34 sekundy. Tego dnia zebrał sporo doświadczeń do pokonywania długich dystansów, które na pewno bardzo mu się przydały w późniejszych maratonach.

MARATON PLYWACKI Z OKAZJI 750 LECIA MIASTA ŚREM

19 LIPCA 2003



Dyplom

dla Romana Bartkowiaka

*Długość odcinka 75000 m
start miejscowość Łódź g.6.00 meta miejscowość Śrem*

CZAS 14:19,34



Sędzia główny

Burmistrz Śremu

K. Tomajski

Marta Tok

Marakesz

Opowiadanie drugie

Uciekinierzy do świata

Laura siedzi na wielkim łóżku w pokoju hotelowym. Jest tu ciasno, ale luksusowo: łazienka wyłożona czarnym marmurem, rzeźbiona orientalna toaletka z jakiegoś egzotycznego drewna. Na ścianie olejna reprodukcja marokańskiej szarzy konnej. Mimo zapalonych lampek jest jednak ciemno. Jedynym źródłem dziennego światła jest okno zakryte drewnianą ażurową okiennicą. Okno wychodzi na wewnętrzny dziedziniec okolony ze wszystkich stron balkonem. Daleko w górze widać niebo. Co z tego? Okiennica zabita jest na głucho gwoździami, a drzwi zamknięte od zewnątrz na kłódkę. Raz dziennie wchodzi przez nie kobieta zakryta woalem i w całkowitym milczeniu stawia na niskim stoliku wyłożonym mozaiką tacę z prostym jedzeniem: naleśniki, ser topiony, pieczywo, czasem pomarańczę. I wodę w plastikowej butelce.

Początkowo Laura próbowała z kobietą rozmawiać, ale ta uparcie milczy. Nawet na nią nie patrzy. Dwa dni temu ogarnięta nagłą determinacją dziewczyna podjęła próbę ucieczki. W momencie, gdy Arabka pochyliła się nad stolikiem, Laura minęła ją pędem i rzuciła się

do wyjścia. Kobieta rozkrzyczała się przenikliwie. Natychmiast przybiegł Abdullah z jakimś drugim osiłkiem i brutalnie wepchnęli Laurę na powrót do pokoju. Tego dnia nie dostała jedzenia ani wody. I zaczęła tracić nadzieję. Teraz płacze trzymając się za głowę. Jak to się stało? Jak mogła być tak nieostrożna? A miało być tak fajnie. Egzotyczna podróż, o której marzyła latami...

* * *

Kilka dni wcześniej Laura Morin, dwudziestoczworoletnia absolwentka architektury, wsiadła w samolot lecący z podparyskiego lotniska do Marrakeszu. Miała zamiar spędzić w Maroku co najmniej trzy tygodnie, a potem pojechać dalej. Była to jej podróż do korzeni, śladami dziadków, pochodzących z Afryki Północnej zamożnych Żydów. W Marrakeszu zatrzymała się tylko na trzy dni, potem zamierzałajechać z grupą przypadkowych podróżników na pustynię. Mieli robić trekking przez parę dni i przejechać się na wielbłądzie. Później autobusem chciała przenieść się nad morze. Taki był

plan. Na razie stała w długiej kolejce do kontroli paszportowej. Wąsaci, wyglądający groźnie urzędnicy w mundurach przedłużali proces jak mogli.

Gdzie się pani zatrzyma? – zapytał surowo jeden z nich, kiedy doszła już do okienka.

W Riadzie Marata – odpowiedziała Laura przyjaźnie. Ale twarz urzędnika ani na chwilę nie zmieniła wyrazu. Zamaszyście przybił pieczętkę w paszporcie. Kolejny facet w czarnym mundurze, równie srogi, sprawdził, czy pieczętkę dobrze przybito i wreszcie Laura mogła wyjść na zewnątrz. Odetchnęła głęboko świeżym powietrzem. Poczula nowe, nieznane zapachy. Orientu. I przygody.

Nikt z hotelu po nią nie wyjechał, tak było lepiej. Wiedziała, że musi dostać się do miasta taksówką i że czekają ją negocjacje z kierowcą. Nie obawiała się jednak tego. W przeciwieństwie do znajomych, którzy próbowali nastraszyć ją opowiadając o nachalności marokańskich handlowców, była podekscytowana i ciekawa, jak sobie poradzi. W ciżbie kierowców tłoczących się wokół ogrodzonego barierkami wyjścia z lotniska zauważyła ubranego schludnie i po europejsku chłopaka. A on zauważył ją. Nie było to trudne, wysoka, ładnie zbudowana brunetka z regularnymi rysami i śliczną twarzą. Na pewno wyróżniała się z tłumu backpackerów, którzy wysypali się z lotniska. Kiedy schował komórkę i podszedł do niej, ucieszyła się. Po krótkiej dyskusji zgodzili się na 100 dirhamów. Laura była zadowolona, pierwsze koty za płoty. Podróż nie trwała długo, a Marrakesz – niewysoki, różowy, obsadzony palmami, wypełniony szalonym ruchem skuterów, aut i powozów konnych, zdał się jej miejscem z baśni Szeherazady. Nieoczekiwanie kierowca zatrzymał się. Kazał jej wysiąść. Wyjaśnił, że dalej nie może jechać, przed nimi olbrzymi plac Jemaa el Fna, serce medyny, a tam jest zakaz wjazdu. Gestem przywołał starszego człowieka w tradycyjnym kolorowym stroju i fezie. Wyjął zwitek banknotów, coś powiedział i wepchnął starcowi pieniądze w rękę. Ten zapakował plecak Laury na duży wózek towarowy i powędrowali przez tłum. Coś w tej dziwnej transakcji zaniepokoiło Laurę. Ale przecież wokół było tylu ludzi...

– Hotel Marata? Riad Marata? próbowała się upewnić zagadując tragarza.

– Marata, Marata... odmrunknął, rzucając jej spojrzenie z ukosa.

Szli szybko, najpierw przez pełen straganów i muzyków plac Jemaa el Fna, potem zagłębili się w wąskie uliczki, gdzie sklepy tłoczyły się w takim natężeniu, że Laura nie nadążała ogarniać wzrokiem różnorodności i bogactwa towarów. Nagle tragarz skręcił. Tu już nie było tak przyjemnie. Szli teraz pustymi zaułkami wzdłuż ochrowych, odrapanych litych ścian bez okien, hen w górze widać było wąski pasek nieba. Gwar ucichł. Laura poczuła się dziwnie. Stanęli przed bogato rzeźbionymi, kutymi wrotami. Tragarz czym prędzej zdjął z wózka jej plecak i zaczął się szybko oddalać.

Riad Marata? – zdążyła jeszcze zawołać niepewnie w stronę jego pleców, kiedy drzwi otworzyły się nagle z trzaskiem i para rąk wciągnęła ją do środka. Ktoś założył jej na głowę jakiś worek, ktoś wyrwał podręczny plecak, który ścisnęła w rękach. Nie zdążyła nawet krzyknąć. Wszystko odbyło się w absolutnym milczeniu i tak błyskawicznie, że zanim mogła oddychać, sparaliżowana strachem i zaskoczeniem, siedziała już w tym orientalnym ciemnym pokoju, wśród rozrzuconych ciuchów, bez paszportu, komórki, zupełnie sama. Pamiętała tylko, że zmuszono ją do wejścia po stromych schodach i że mężczyzna, który najpierw założył jej to coś na głowę, a potem już w pokoju zdjął, był czarnym Afrykaninem o imieniu Abdullah, tak przynajmniej zwracał się do niego ten drugi. Najpierw próbowała się wydostać, potem wrzeszczała, później płakała, aż w końcu wyczerpana zasnęła.

Mijały dni i nic się nie działo. Czego od niej chcieli? Jak dotąd nie próbowali jej skrzywdzić. Może szukają nabywców, jak w pewnym filmie z Neesonem, który widziała dawno temu? Wzdrygnęła się. Najgorsze, że nikt jej nie będzie szukał... Mama już dawno nie żyła, a ojciec... Ten nawet nie pomyśli, że mogło jej się coś stać, brak wiadomości, to dobra wiadomość, zwykły przecież mawiać. Jedyнным pocieszeniem był fakt, że zostawili jej książkę. Wprawdzie nie mogła czytać, była zbyt zestresowana, jednak odkryła w niej kopie kart pokładowych, zrobionych „na wszelki wypadek”.

To jej dodało otuchy. Postanowiła, że w końcu się stąd wydostanie. Zaczęła uważnie obserwować ruch i skromne życie riadu.

* * *

Pewnego ranka Laurę obudziło niezwykle zamieszanie w budynku. Przez szpary w ażurowej okiennicy zobaczyła mężczyzn w białych dżalabijach idących schodami na górę. Domyśliła się już dawno, że na dachu jest taras. Widziała nieraz Abdullaha lub tego drugiego typu, idących na górę w godzinach posiłku, słyszała ich śmiech i rozmowy. Stamtąd też po krętych schodach schodziła Arabka z tacą. Teraz zaś zobaczyła tych ludzi, a za nimi Abdullaha. Jego nieco zgrzytliwy, usługowy śmiech rozbrzmiewał w całym domu. Po chwili dołączył do nich drugi ze strażników. Serce podeszło jej do gardła. Coś się wydarzy. Coś strasznego. Czy mieli zamiar ją sprzedać? Poczula obezwładniający lęk. Co robić?

Mamo, Boże, jeśli gdzieś tam jesteście, pomocy... wyszeptwała.

W tej samej chwili na schodach pojawił się cień. Laura zamarła... Jednak była to tylko kobieta z tacą. Skierowała się do jej pokoju. Chwilę trwało zanim otworzyła kłódkę i ostrożnie weszła do środka. Stanowczym gestem, mamrocąc coś pod nosem kazała dziewczynie cofnąć się. Laura posłusznie zrobiła krok do tyłu. W momencie, gdy kobieta zbierała naczynia pełne nieruszonych potraw, z dachu rozległ się donośny rozkazujący głos Abdullaha. Laura drgnęła. Pewnie mężczyzna przechylił się nad barierką tarasu i wołał w głąb patio, bo głos brzmiał jak ze studni, donośnie i groźnie. Kobieta odskrzyknęła coś, z widocznym zdenerwowaniem wyszła z pokoju i pobiegła na górę, zostawiając tacę po drodze. Serce Laury zaczęło bić jak oszalałe. Prawie nie oddychając podeszła do rzeźbionych drzwi i lekko je popchnęła. Otwarte... Kłódka zwisiała z zasuwki. Dziewczyna zrozumiała, że pojawiła się szansa ucieczki. Zrobiła pół kroku na zewnątrz, ale nagle przypomniała sobie – karty pokładowe! Cofnęła się szybko do pokoju, chwyciła ukrytą pod materacem książkę i nie zwracając sobie głowy resztą rzeczy pobiegła na palcach przez korytarz. Na stopach miała

tylko skarpetki, ale podłoga wysłana dywanami i tak całkowicie tłumiła odgłos jej kroków. Nagle Laura usłyszała jakiś ruch na dachu. W panice nacisnęła klamkę pokoju tuż obok. Duże drzwi otworzyły się bezszelestnie. Znalazła się w przestronnym, słonecznym apartamencie, balkon był otwarty, ale kiedy z nadzieją wyrzała na zewnątrz, zobaczyła tylko kolejne wewnętrzne podwórko. Z dachu dobiegały męskie głosy. Brzmiało to jak sprzeczka. A może negocjacje handlowe? Zadrżała, czym prędzej wróciła do wejścia i spojrzała przez szparę. Nikogo. Kłódka do jej pokoju na końcu korytarza wisiała niedbale, jak przedtem. Wstrzymując oddech dziewczyna wymknęła się na zewnątrz. Na korytarzu okalającym kwadratowe patio umieszczono liczne fotele i orientalne stoliczki z bogato rzeźbionego drewna. Dziewczyna ostrożnie wychyliła się za barierkę. Na mrocznym dziedzińcu piętro niżej szumiała niewielka fontanna, wokół stało kilka stołów przykrytych obrusami, poza tym – nikogo. Do krętych schodów było zaledwie kilka kroków. Laura pokonała je dwoma susami. Z duszą na ramieniu zaczęła ostrożnie zbiegać po wąskich stopniach. Znalazła się na parterze, w miejscu, które wyglądało jak hotelowa recepcja, czym prawdopodobnie było, zanim ten riad zamknięto, by parać się tutaj jakimiś niecnymi interesami. Naprzeciwko schodów Laura zobaczyła wielkie drzwi zewnętrzne. Pamiętała, że kiedy ją tutaj doprowadzili, wrota były zamknięte na ciężką zasuwę, którą ze złowrogim trzaskiem otworzył Abdullah. Żeby stąd wyjść musiała prawdopodobnie użyć siły i narobić hałasu. Nie bała się już. Strach jej nie paraliżował, pewnie to adrenalina prowokowała umysł do szybkiego myślenia i dodawała jej nadludzkiej odwagi. Z góry nie nadchodziły żadne odgłosy, kobieta prawdopodobnie została zmuszona, by usługiwać gościom w dżalabijach. Laura zdecydowała przeszukać recepcję, może gdzieś tam leżą jej paszport i komórka? Wśliznęła się za przepierzenie i gorączkowo zaczęła grzebać w pudłach i szufladach. Niestety, nic... Nagle jej wzrok padł na kable tuż za ścianką działową. Telefony komórkowe! Zajrzała tam i był. Wprawdzie niepodłączony, kompletnie martwy i bez zasilacza, lecz był – jej stary iPhone

w kolorowym etui! Dobrze i to, miała przecież zdjęcia wszystkich dokumentów w telefonie. Jeśli go nie wyczyścili... Później sprawdzi. W tej samej chwili usłyszała kroki na schodach. Nie czekając dłużej włożyła telefon do kieszeni spodni, książkę pod pachę i rzuciła się do zasuwy. Gruby kawał żelaza nie chciał się przesunąć, Laura użyła całej siły, i w końcu z potężnym zgrzytem zasuwa ruszyła się. Wrota były otwarte.

Zalany słońcem zaułek oszołomił dziewczynę. Pusto. Pobiegła w lewo, ale po paru krokach spostrzegła z przerażeniem, że to błąd, cul-de-sac, uliczka kończyła się brudnym murem. Zawróciła błyskawicznie i ponownie przebiegła przed wejściem do hotelu. Nie rozglądała się. Pędziła przed siebie nie czując, że drobne kamyczki ulicy kaleczą jej stopy w cienkich skarpetkach. Dobiegła bez tchu do miejsca, gdzie zaułek kończył się i wtapiał, jak zapamiętała, w dużą, ruchliwą ulicę bazaru, ze straganami i strumieniem ludzi. Dopiero wtedy obejrzała się za siebie. Nikt jej nie ścigał. Być może w ferworze rozmów nie zwrócili uwagi na ha-

łas spowodowany zasuwą? Może Arabka zeszała na dół, ale nie zaglądała do pokoju, zamknęła tylko kłódkę? Tak czy owak, kiedy się spostrzegą, Laura już będzie daleko.

Uliczki suku wypełnione były obfitością towarów: kolorowe przyprawy usypane w stożki, przetykane złotymi nićmi tkaniny, barwne skórzane klapki z podwiniętymi czubkami, torebki, portfeliki i sandały, butiki ze srebrem, pachnące mydelka, kulki wanilii, wonne stopy drzewa sandałowego, ociekające miodem ciasteczka... Nawołujący sprzedawcy, kobiety w hidżabach, turyści z plecaczkami, bezpańskie koty... Tłumy. Tłumy... Nieprzebrana ludzka rzeka.

Laura w samych skarpetkach szła przed siebie, co chwilę zmieniając kierunek, zagłębiając się w coraz to nowe uliczki, byle dalej, byle dalej od koszmaru. Nagle poczuła, że płacze. Łzy zalewały jej policzki, bezskutecznie wycierała je rękawem, aż w końcu jakaś europejska para w średnim wieku, zaczęła ją po francusku:

– Co ci jest, dziecko? Czy możemy ci jakoś pomóc?



KWESTIONARIUSZ KULTURY



MARCELINA BARTNIK- IDCZAK

Rocznik 1988. Zodiakalna Ryba. Właścicielka firmy. Jej pasją i pracą jest fryzjerstwo. Kocha wszystkie zwierzęta na Ziemi. Uwielbia podróżować. Szczęśliwa mężatka. Nie może żyć bez rozwijania siebie i przekraczania swoich barier.

1
Kim jestem...

Szaloną kobietą.

2
Co jest najważniejszym osiągnięciem mojego życia...

Myślę, że samo bycie w tym świecie jest już niezłym osiągnięciem.

3
W czym jestem dobra...

Na pewno w swojej pracy i myślę że jeszcze parę rzeczy by się znalazło.

4
Co jeszcze chcę osiągnąć...

Osiągnięcia są owocem ciężkiej pracy, więc czas pokaże. Osiągnąć się nie planuje, one przychodzą same.

5
Co chcę w sobie zmienić...

Mniej się przejmować wszystkim.

6
Co daje mi szczęście...

Tak naprawdę dają mi je osoby i zwierzęta, które są blisko mnie.

7
Najważniejszy dzień w moim życiu...

Każdy dzień jest ważny.

8
U przyjaciół najbardziej cenię...

Szczerłość i upór w dążeniu do celu.

9

Bohaterstwo to dla mnie...

Czynienie dobra.

10

Epoka, w której chciałabym żyć...

Nie ma konkretnej. Może lata 70. byłyby spoko. Hippisi, miłość i wolność...

11

Największym nieszczęściem byłoby dla mnie...

Chyba utrata bliskich. Także tych czworonożnych.

12

Najcenniejsza rzecz jaką posiadam...

Nie przywiązuję się do rzeczy materialnych. Za najcenniejszą uważam rodzinę i przyjaciół. Ale to nie rzeczy raczej.

13

Moja największa wada...

Za dużo myślę.

14

Główna cecha charakteru...

Pracowitość. Jestem też bardzo rzeczową i konkretną osobą, ale z duszą artysty.

15

Moje motto życiowe...

Żyj tak, aby patrząc w lustro nie brzydzić się własnego odbicia.

16

Ulubiony dźwięk...

Dźwięk gongu.

17

Dźwięk, który mnie denerwuje...

Dźwięk budzika.

18

Nie mogłabym żyć bez...

Zwierząt

19

Co wzbudza we mnie lęk...

Mam lęk wysokości.

20

Moje ukryte marzenie...

Jest ukryte, więc nie powiem.

21

Dar natury, który chciałabym posiadać...

Darów natury jest wiele. Wolałabym te niewytłumaczalne i myślę, że na pewno byłoby to uzdrawianie.

22

Zawsze śmiesz mnie...

Niezmiennie od lat, Monthy Python.

23

Słowo, którego nadużywam...

To przekleństwa, więc nie przytoczę.

24

Zdanie o mnie, które zapamiętałam

Ostatni będę pierwszymi.

25

Myśl, która pojawia się gdy nie jest najlepszą...

Są to bardzo ciemne myśli. Myślę, że każdy takie miewa w swoim życiu, ale zawsze po morzu łez wskakuję na pozytywny tor.

26

Osobie bliskiej nigdy nie wybaczę...

Nieprzemyślanych słów.

27

Wolność to dla mnie...

Brak potrzeby myślenia o czymkolwiek.

28

Kim chciałabym być gdybym nie była tym kim jestem...

Nie wiem. Jest dobrze tak jak jest, a planuję, żeby było jeszcze lepiej.

29

Obecny stan mojego umysłu...

Na rozdrożu.

30

Kim chcę zostać w pamięci innych...

Dobłą, pozytywną, pełną optymizmu osobą.

Jolanta ANDRZEJEWSKA

Powróceni

Dziwna książka brytyjskiego noblisty

Z górnej półki

2021 roku, w pełnej pandemii, literacka nagroda Nobla przypadła w udziale nieznanemu bliżej pisarzowi brytyjskiemu. Abdulrazak Gurnah jest wykładowcą na uniwersytecie w Kencie, ale urodził się w Tanzanii, na Zanzibarze, skąd, jako młody chłopak wyemigrował do Wielkiej Brytanii. Powiedzieć, że znany był jedynie niewielkiemu gronu miłośników powieści afrykańskiej, to nic nie powiedzieć. Podobno nawet wydana w 2021 roku antologia literatury afrykańskiej nie zawierała jego nazwiska. A jednak wysoka komisja noblowska przyznała pisarzowi prestiżowe literackie wyróżnienie za „empatyczną i bezkompromisową relację o skutkach kolonializmu i losach uchodźców uwiecznionych między kulturami i kontynentami”, gdyż, twierdzi jury, powieści Gurnaha „są dalekie od stereotypowych opisów i otwierają nam oczy na Afrykę Wschodnią, zróżnicowaną kulturowo, i słabo znaną w wielu częściach świata”. By się przekonać, czy jest tak rzeczywiście, polski czytelnik musiał poczekać do października 2022, kiedy to Wydawnictwo Poznańskie wypuściło na rynek jedną z dziesięciu książek pisarza w przekładzie uznanego tłumacza, Krzysztofa Majera. Książka od razu znalazła się na półkach pewnej małej śremskiej księgarni, znanej z posiadania wszystkich ważnych nowości, gdzie przekartkowawszy ją z zaciekawieniem, stwierdziłam, że jest to powieść dla mnie. Wciągająca od pierwszej strony, i z racji poruszania tematów niespecjalnie mi znanych, bardzo interesująca.

Dawno, dawno temu, między jedną europejską wojną a drugą, żyli sobie we Wschodniej Afryce ludzie biedni, ale szczęśliwi. Khalifa pracował dla bogatego kupca, który handlował mydłem i powidłem, zaś jego żona, osoba nieco surowa, prowadziła dom i z upodobaniem oddawała się dewocji. Khalifa, zamiast biegać do meczetu,

wolał po pracy siadać na werandzie w otoczeniu przyjaciół. Przeglądali miejscowe gazety i dyskutowali o tym, co dzieje się w Afryce i w najbliższej okolicy, ale głównie radośnie plotkowali. Afiya, podopieczna Khalifa, mieszkająca pod jego dachem sierota, przygotowywała im kawę. Zakryta szczelnie kangą, kolorową szatą podobną do sari, nie wychodziła broń Boże do mężczyzn na taras, tego robić nie wypadało. Podawała im tylko filiżanki w progu domu i czym prędzej uciekała do środka. Jednak ukradkowo rzucane spojrzenia wystarczyły dziewczynie, by się zakochać w młodym Hamzie, przyjacielu domu i uczestniku codziennych pogaduszek na werandzie. Od tej pory, wręczając mu tacę lub odbierając cokolwiek w progu, starała się przynajmniej dotknąć jego dłoni. Chłopak marzył o niej już od dawna, od czasu, kiedy przypadkiem zobaczył ją przy pompie, w głębi wewnętrznego dziedzińca...

Jeśli myślicie, że ta nieśmiała historia miłosna rozwinęła się w dramatyczny romans z przygodami, to grubo się mylicie. Po prostu, Afiya pewnego dnia weszła do pokoiku, w którym mieszkał Hamza, zdjęła kangę i kochali się miłością zabronioną, niewiele sobie z tego robiąc, a za ścianą przybrana macocha dziewczyny gotowała biryani, mamrocąc wersety z Koranu. Trwał właśnie miesiąc ramadanu. Wszyscy zgodnie pościli aż do zmroku, by potem zebrać się wokół stołu i smakować świąteczne potrawy, pracowicie gotowane cały dzień przez kobiety, (jeśli akurat nie miały miłosnej schadzki). Grom z nieba nie spadł na grzesznych młodych kochanków, łamiących w bezczelny sposób święte zasady religii i postu. Wręcz przeciwnie, w krótkim czasie, Hamza poślubił Afiyę i żyli długo i szczęśliwie.

Spytacie, jak to?! To wszystko? I za to facet dostał Nobla?!

Na szczęście to tylko część książki. Przedtem w życiu Hamzy i Afiyi „zdarzyła się” Afryka. Okrutna, pogrążona w nędzy, nieprzewidywalna, spływająca krwią, zadeptana butami żołnierzy służących w armiach białych kolonistów. Przed pierwszą wojną światową dzisiejsza Tanzania, gdzie toczy się akcja powieści, a skąd pochodzi sam autor, była niemiecką kolonią (Deutsche-Ostafrika). W tej części świata każdy kawałek ziemi należał zresztą do Europejczyków – Brytyjczyków, Portugalczyków i Belgów. Wszyscy oni bili się między sobą starając się powiększyć granice swoich kolonii. Walkę prowadzili głównie za pomocą wcielanych do armii, dobrowolnie lub podstępem, rdzennych mieszkańców. Także w czasie pierwszej wojny, gdy doszło do zacieklých walk we wschodniej Afryce pomiędzy europejskimi wrogami, znakomitą większość żołnierzy oddających życie i zdrowie za odległy polityczny konflikt, stanowili miejscowi: Afrykanie i Hindusi.

Wspomniany wyżej bohater love story, Hamza, jako dziecko został oddany przez ojca w niewolę pewnemu kupcowi, u którego rodzina miała długi. Kilkanaście lat spędził śpiąc na podłodze w sklepiu swego właściciela, aż w końcu, jako siedemnastolatek, odważył się uciec. I trafił do niemieckiego wojska, do owianych złą sławą oddziałów zwanych schutztruppe, złożonych z afrykańskich chłopców wyszkolonych przez niemieckich oficerów. Wprawdzie dzisiaj, niektórzy historycy uważają, że oddziały te były wzorem demokracji, gdyż oficerowie niemieccy ginęli ramię w ramię z afrykańskimi „askarysami”, a niemieckie państwo ostatecznie stało wobec nich na wysokości zadania, nie tylko bowiem zapewniało żołnierzom wikt i opierunek oraz pomoc medyczną w trakcie walk, ale też wiele lat później askarysi mogli ubiegać się o rentę (!). Jednak Abdulrazak Gurnah ma na ten temat inne zdanie. Jeśli w jego powieści jest zaskakująco sporo anegdot świadczących o „cywilizacyjnej misji” najeźdźców, to jednak według niego wojna z wykorzystaniem afrykańskich najemników była szczytem kolonialnego wyzysku. Opowieści o życiu Hamzy w oddziałach schutztruppe czyta się ze ściśniętym żołądkiem.

Powróceni to dziwna książka. Wartka, interesująca, ale jednocześnie konstrukcyjnie słaba. Po-

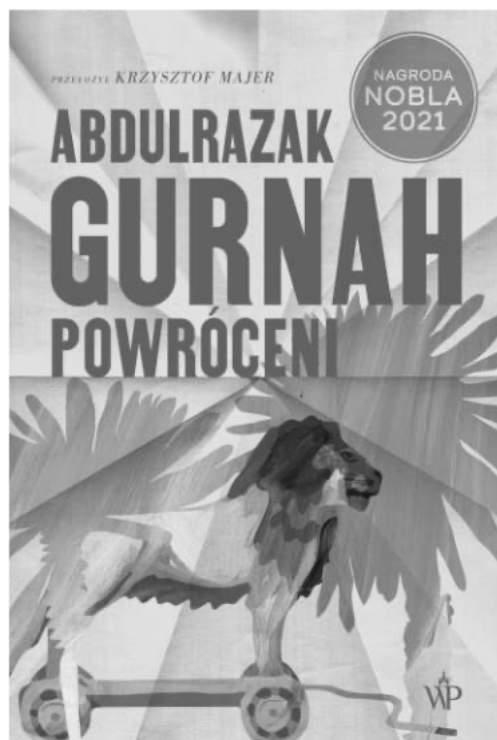
czątkowo mamy tu do czynienia z narracją reportażową, by nieoczekiwanie znaleźć się w środku epickiej opowieści w stylu Zoli czy Prusa, a z niej znowu wrócić do napisanej na kolanach gazetowej notatki, która wieńczy powieść. Oś narracji przesuwają się z jednego bohatera na drugiego trochę nieoczekiwanie, a wątki urywają się, zostawiając nas z uczuciem niedosytu. Czyta to się dobrze, ale czytelnik ma wrażenie, że brak tej powieści solidnego początku i końca. Jednak z niecierpliwością poczeka na inne, wcześniejsze powieści Noblisty, które Wydawnictwo Poznańskie już zapowiada.

Afryka jest tematem niezgłębnym i relatywnie nowym w literaturze, a opowiadający ją pisarze, jak Chimamanda Ngozi Adichie czy Gaël Faye, o których była niegdyś mowa w tej rubryce, coraz częściej zajmują wysoką pozycję w rankingach czytelnich. Przede wszystkim przybliżają nam, europejskim sytym kotom, ten daleki, nieco zapomniany kontynent wraz z jego problemami i urodą.

Powróceni

Abdulrazak Gurnah

Wydawnictwo Poznańskie 2022



Adam LEWANDOWSKI

Pędzi stopniami klawiszy...

Warto przypomnieć

Marek Wawrzekiewicz – Prezes Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich napisał: „Kiedy dziś, 7 marca w samo południe, zobaczyłem na ekranie komórki, że dzwoni Zbyszek Gordziej, wiedziałem, co powie. I rzeczywiście, powiedział, że rano zmarła jego Matka. **Helena Gordziej** była jedną z senierek naszego Związku. Była czułą, wrażliwą, mądrą poetką, wieloletnią działaczką naszej organizacji, wychowawczynią i patronką wielu poznańskich poetów. Osobą niedużego wzrostu, ale wielkiego formatu. Kimś, do kogo od pierwszego spotkania żywi się szacunek i niewymuszona sympatia. Promieniowała życzliwością dla ludzi i dobro-

cią. Osierociła poznańską literaturę i wielu z nas”.

Helena Gordziej poznałem w 2003 roku podczas kolejnej edycji Międzynarodowego Listopada Poetyckiego. Wcześniej znałem jej twórczość pisaną mądrym, spolegliwym piórem, ku radości dobroci tego świata. Urzekła mnie skromnością i pięknym językiem literatury. Pozostawiła po sobie ponad 50 indywidualnych tomów poetyckich oraz niezliczoną ilość innych samodzielnych tekstów, które cieszyły nie tylko dorosłych, a również dzieci i młodzież. W mojej bibliotece znajduje się kilka dedykowanych egzemplarzy, do których późnymi wieczorami chętnie wracam.

Helena Gordziej urodziła się 11 lipca 1928 roku w Poznaniu, gdzie mieszkała do końca swoich dni. W 1948 roku zdała maturę w Liceum im. Generałowej Zamoyskiej. Przez trzydzieści pięć lat pracowała w państwowej administracji, zyskując branżowe odznaczenia i nagrody. Uprawiała poezję, prozę, tłumaczyła poezję niemiecką. Przetłumaczyła z języka niemieckiego *Baśnie* Hansa Christiana Andersena. Opublikowała wiele tomów poezji, dwie powieści o tematyce społeczno-obyczajowej i dwie książki dla dzieci. Jej wiersze znalazły się w *Antologii Poetów Polskich* – wydanej w języku ukraińskim, *Antologii Poezji Polskiej XX wieku* – w języku greckim, a także w *Antologii Tysiąclecia*. Od wielu lat prowadziła działalność społeczną na rzecz różnych środowisk. Swoją działalnością wspierała także ludzi niepełnosprawnych. Wspomagała Fundację Dzieciom „Zdążyć z po-



mocą”. Jej działalność została opisana w książce *Ludzie Wielkiego Umysłu Talentu i Serca – Twórcy Wizerunku Polski* (Księga 2003 rok) wydanej w ramach Fundacji Dzieciom. W 1976 roku współzałożyła pierwsze w kraju Stowarzyszenie Artystów Ochrony Środowiska (przemianowane później na Ekologiczne Stowarzyszenie Środowisk Twórczych). Pełniła funkcję wiceprezesa tej organizacji.

Przez wiele lat prowadziła liczne spotkania autorskie w szkołach, bibliotekach, instytucjach kulturalnych i naukowych. Zajmowała się młodymi talentami. Wielu początkujących poetów doprowadziła do wydania własnych tomików wierszy. Przez kilkanaście lat współorganizowała Międzynarodowe Listopady Poetyckie w Poznaniu. Przez pięć kadencji pełniła funkcję sekretarza Poznańskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, a także funkcję sekretarza Komisji Rewizyjnej w Zarządzie Głównym Związku Literatów Polskich w Warszawie. Poezją autorki zainteresował się Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, gdzie ukazała się praca magisterska autorstwa Elżbiety Ludwiczak Owczarek *Helena Gordziej w Bibliotece Analiz Literackich*, napisana pod kierunkiem prof. dr hab. Barbary Kasprzakowej. Była laureatką licznych nagród literackich m.in. Funduszu Literatury, XV Międzynarodowego Listopada Poetyckiego, II Międzynarodowego Kongresu Poetów w Lublinie, Nagrody im. Jana Kasprzowicza. Za zasługi w pracach społecznych otrzymała: Złoty Krzyż Zasługi, Honorową Odznakę Miasta Poznania, Zasłużony Działacz Kultury, Za Zasługi dla Rozwoju Województwa Poznańskiego, Za Zasługi dla Województwa Leszczyńskiego, Za Zasługi dla Województwa Konińskiego. W czerwcu 2005 roku otrzymała Dyplom Uznania „Za wybitny wkład w umacnianiu polskiego patriotyzmu i polskich tradycji narodowych”.

Nazwisko autorki figuruje również w *Wielkiej Księdze Poznania*. Jest laureatką Złotego Medalu Labor Omnia Vincit, nadawanego przez Towarzystwo im. Hipolita Cegielskiego w Poznaniu. Była wspaniałą osobą, z niezwykłym darem pisarskim, spostrzegającym to co w życiu najważniejsze.

Opracowano na podstawie tekstów publikowanych po śmierci Heleny Gordziej, szczególnie Towarzystwa im. Hipolita Cegielskiego

ETIUDA

wybrała szalone tempo
szybkie niczym bicie serca
rozbudzone miłością
Pędzi stopniami klawiszy
przed kim ucieka
kogo goni
Wszędzie pustka
Tabun koni
rozprzestrzenił się na stepie
nie ma przepastnych borów
ani gór wysokich
Codziennosc odziana w łachman
miłosierdzia
zebrze pod kościołem

NOKTURN

Fantazja i wyobraźnia
zakłète w klawiszach wszczepiają
niepokój w elastyczność palców mistrza
Powaga chwili czerpie natchnienie
ze źródła wyobraźni
Czas kapryśny kosmopolita
przycichł
nie drażni wskazówek zegara
senny
zmęczony
może zakochał się
w harmonii dźwięków
Dopałł mnie jego nastrój
powilgotniały oczy
spoglądam na kolorowy portret
młodej kobiety
dostrzegam w jej oczach
smutek
patrzy na mnie
jakby chciała postawić zarzut
postarzałej twarzy

Leszek MAŃKOWSKI

Między memem a pomnikiem

Na oparach

*Czy ten ptak kala gniazdo, co je kala,
Czy ten, co mówić o tym nie pozwala?*
(Cyprian Norwid)

Minął miesiąc od emisji reportażu. Burza uci-
chła, a może tylko przycichła. W każdym razie
jest pora na wyłączenie emocji, na refleksję.
Warto spokojnie pomyśleć. Każdy człowiek za-
sługuje, żeby oceniać go integralnie, zwłaszcza
gdy w jego życiu są momenty zwrotne, które
generują rozwój. Dlaczego prawo do integral-
nej oceny nie miałyby przysługiwać Janowi
Pawłowi II?

Reportaż wywołał skrajnie podzielone opinie.
Jedni mówią, że to ukazanie prawdy, obalanie
mitów i stawanie po stronie skrzywdzonych.
Dla drugich jest to nie tylko atak na świętość
papieża i podważanie jego autorytetu, to także
próba niszczenia katolickich i patriotycznych
wartości. Przy takiej polaryzacji trudno o znale-
zienie płaszczyzny do rozmów, uczciwej anali-
zy i oceny informacji. Uważam, że tak jak
pozbawione jest sensu mówienie o bezprzy-
kładnym ataku, czy wręcz drugim zamachu, tak
samo nie ma potrzeby dla hałaśliwej obrony.
Nie zapisuję się do żadnego z walczących ze
sobą obozów. Ile jest miejsca między memem
a pomnikiem?

Potrzebujemy autorytetów, osób czy instytucji,
którym udzielamy kredytu zaufania, gdyż uzna-
jemy ich profesjonalizm, uczciwość, prawdo-
mówność, bezstronność. Autorytet bywa ide-

alizowany, a potrzeba „nieskalanego” autoryte-
tu jest typowa dla wczesnych okresów rozwojo-
wych człowieka, maleje ona wraz z wiekiem.
Dla dziecka rodzice czy inni dorośli są głów-
nym źródłem wiedzy i wyrocznią. Dorastający
młody człowiek stopniowo zauważa, że ci któ-
rzy wydawali mu się „wszechwiedzący” lub
„wielcy”, wcale nie są takimi. Po przejściu
przez krytyczny okres negowania autorytetów
zaczyna się dostrzegać człowieka jako całość –
z jego zaletami i wadami.

Najczęściej autorytet jest czynnikiem stabilizu-
jącym społeczne więzi. Niebezpiecznie się
dzieje, gdy zaufanie do autorytetu jest nadmier-
ne; gdy autorytet jawi się jako wszechwiedzący
i nieskalany. Grozi to skostnieniem poglądów,
a czasem ich zwyrodnieniem...

Baśń o papieżu Polaku była efektem czasów,
w jakich powstawała. Kiedy został wybrany,
byliśmy w głębokim kryzysie ekonomicznym,
na który władza nie miała recepty. Mieliśmy
poczucie ograniczenia wolności, zacofania,
gorszości wobec Zachodu, prowincjonalizmu
i tego powszechnego „nie da się”... I nagle się
udało! Kompleksy w ką, Polak papieżem, Pol-
ska to znów brzmiało dumnie. Potrzebowali-
śmy takiej postaci, potrzebowaliśmy autorytetu,
od wtedy go mieliśmy. Nie widzieliśmy, jak pa-
pież stawał się nie podmiotem, ale przedmio-
tem naszej baśni. A tak się składa, że baśnie
mniej mówią o tych, których dotyczą, więcej
o tych, którzy je powtarzają i w nie wierzą.

I taka baśń o papieżu stała się swoistym zbiorowym portretem Polaków przez nich samych stworzonym.

Pamiętam dzień wyboru, niedowierzanie, zaskoczenie i radość wielką. Słuchałem i tego „nie lękajcie się”, i „niech zstąpi Duch Twój...”. Pielgrzymki gromadziły miliony – też tam bywałem. „Musicie od siebie wymagać, nawet gdyby inni od was nie wymagali” – to usłyszałem w czerwcu 1983 r. stojąc pod jasnogórskimi wałami. Zostały ze mną te słowa, i znów wróciły, teraz... Nie zapomnę też tamtego 2 kwietnia, gdy odchodził, umierał na oczach całego świata. Znowu mieliśmy narodowy zryw, jednoczące wzruszenie.

Powstał kult. Pomniki, nazywane jego imieniem instytucje, ulice, place. Slogany i cytaty na każdą okazję, wpłatane do kazań i politycznych przemówień w ilościach tym większych, im mówca miał mniej do powiedzenia, często bywały usprawiedliwieniem dla miałkich, płytkich, tendencyjnych treści. Kremówki i otrąbianą każdego wieczoru *Barka*. Papież na portretach, na pobożnych obrazkach. Papież w telewizjach, teatrach, na koncertowych estradach. W szkolnych lekturach i podręcznikach, papież od przedszkola do matury. I – mówienie o „dziedzictwie”, bez sprecyzowania, czym ono naprawdę jest. A kto by się nad tym zastanawiał? Przecież Jan Paweł II wielkim Polakiem był – i kropka. Polakiem!

Kult stał się kiczowaty, z papieża zrobiono jakiegoś narodowego świętka. Z jego myśli o Kościele i świecie kościelni i polityczni przywódcy sklecieli wygodny kremówkowy refren do każdego nauczania na każdy temat. Czy tak przedstawiane, zdeformowane „dziedzictwo” mogło być do przyjęcia przez młode pokolenie? Dlaczego twórcy kultu, jego strażnicy dziwią się, ubolewają, pomstują, płaczą, szukają winnych (niepotrzebne skreślić), że dla wielu młodych święty papież nie jest autorytetem? Ale – czy trąby buczące bez wyczucia o jego wielkości, czy trębacze walące słuchaczy trąbami po głowach (żeby lepiej dotarło) są w stanie skłonić kogoś, by wybrał sobie papieża za życiowego przewodnika?

Cechą dorosłości jest nabieranie dystansu do autorytetów. „Gdy byłem dzieckiem, mówiłem jak dziecko, czułem jak dziecko, myślałem jak

dziecko. Kiedy zaś stałem się mężem, wyzbylem się tego, co dziecięce” – to słowa św. Pawła (1 Kor 12, 11). A czy nie jest tak, że u nas wychowanie w wierze zatrzymuje się na etapie dzieciństwa? Bo mniejsze znaczenie ma sumienie, za to bardziej trzeba słuchać zewnętrznych autorytetów i prawa. A czy nie jest tak, że dojrzałość zakłada umiejętne połączenie obu tych aspektów? Czy nie z braku takiej dojrzałości drży w posadach ten nasz pomnikowy katolicyzm?

A czy taki nasz „dziecięcy”, bezrefleksyjny stosunek do autorytetów nie jest wykorzystywany przez polityków umiejętnie pogłębiających podziały społeczne na własny, często niecny użytek i pożytek?

Reportaż o tuszowaniu pedofilii krytykowali też ludzie, którzy szczycili się tym, że go nie widzieli. O czym to może świadczyć? Ci, którzy materiał obojętnie, widzieli tam nie tylko ubecskie dokumenty, a przede wszystkim usłyszeli głos ludzi w tamtych czasach, skrzywdzonych najpierw przez księży pedofilów, potem przez biskupią obojętność wobec ich krzywdy.

Czy da się wszystko usprawiedliwić kontekstem historycznym? Można próbować, bo jak powiedział obecny papież, wtedy wszystko tuszowano. Walką komunistów z Kościołem można tłumaczyć ukrywanie skandalu, przenosiny sprawcy na inną parafię. Ale komuna upadła, a czy takie postępowanie się skończyło? Lekceważenie ofiar jest niezależne od kontekstu historycznego. Nawet świętemu Karolowi Wojtyłe zabrakło ludzkiej empatii i ewangelicznego czy po prostu ludzkiego podejścia do skrzywdzonych dzieci... Jak to brzmiało? Święty mógł tak postępować? Że wszyscy tak robili? Może inni tak, ale przecież nie on, nie nasz papież, nasz rodak, nasz święty. No i idą maszerować, zapalać znicze, wznosić modły, wieszać portrety, pisać listy, tworzyć uchwały, organizować koncerty. Idą bronić. Czego bronią ci, którzy do obrony z ambon i politycznych mównic nawołują – z grubsza wiadomo. A czego bronią tzw. zwykli ludzie? Może swojego życia?

Życiu milionów, papież nadawał radość, smak, sens. Ilu się przyzna, że się w swoim kulcie pomylili?

Ale, czy „obrona” połączona z wrogością, z osądzaniem od czci myślących inaczej nie jest

wodą na młyn dla drugiej skrajności, dla chcących „dekanonizować” i „odjaniepawlać”? Czy świętość, czy prawda, nie obroni się sama?

On zalecał, byśmy od siebie wymagali. Nie było tam zastrzeżenia, że od księży (a tym bardziej od papieża) wymagać trzeba mniej. Przeciwnie: „Komu wiele dano, od tego wiele wymagać się będzie; a komu wiele zlecono, tym więcej od niego żądać będą” (Łk 12,48).

Czy problemem jest jego świętość, czy nasze świętości pojmowanie? A może prawdziwy problem zaczął się już od „santo subito”, podczas uroczystości pogrzebowej? Dziwnie chętnie watykańscy decydenci tego posłuchali. Tak

bardzo, że „subito” było ważniejsze od „santo”. Komu, do czego potrzebny był pośpiech?

Dekonstrukcja mitu łatwa i przyjemna nie jest. Ale Jan Paweł II napisał też te słowa: „Istotnie nie wolno odwracać się od prawdy, zaprzestać jej głoszenia, ukrywać, nawet jeśli jest to prawda trudna, a jej wyjawienie wiąże się z wielkim bólem. «Poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli» (J 8, 32) – oto jest nasze zadanie i zarazem nasze oparcie! W tej sprawie nie ma kompromisów, ani oportunistycznego uciekania się do ludzkiej dyplomacji”. („Wstańcie, chodźmy!”, 2004 r.).

Czytali to, więc otworzą kurialne archiwa?



Fot. L. Mańkowski

Bartosz KLIMCZUK

Prawosławna wigilia przy Badnjaku i wielkim ognisku

Kto regularnie czyta moje teksty publikowane na łamach „Gazety Śremskiej” ten wie, że od zeszłego roku postanowiłem w swoim życiu wprowadzić nową tradycję. Święta Bożego Narodzenia uwielbiam całym sobą – od tradycyjnych rytuałów i okolicznościowych nabożeństw poczynawszy, na kiczowatej, skomercjalizowanej otoczce kończąc. Pewnego dnia pomyślałem sobie, że może by połączyć pasję do międzynarodowych wypraw z umiłowaniem kolęd, choinki i różnokolorowych światełek. Z pewnością w grę nie wchodziło jednak zrezygnowanie z grudniowych świąt w Polsce, raz już spędziłem je poza rodzinnym gronem i zdecydowanie, z różnych względów, nie był to najlepszy pomysł w moim życiu. Po namyśle zdałem sobie sprawę, że przecież prawosławni swoje Boże Narodzenie obchodzą później, bo na początku stycznia. Dodatkowo, w przeciwieństwie do państw katolickich, obchody Narodzenia Pańskiego u prawosławnych w każdym kraju potrafią mieć całkiem osobne tradycje, dlatego jest to jakby odkrywanie danego święta na nowo. Takiej okazji nie mogłem przepuścić. Spojrzałem na mapę, sprawdziłem loty i na miejsce, gdzie spędzę swoje pierwsze prawosławne święta wybrałem Ukrainę. Wspominam ten czas naprawdę bardzo dobrze, mimo że było to dosłownie tygodnie przed rosyjskim najazdem. Wojna wisiała w powietrzu, ale nasi wschodni sąsiedzi tłumnie odwiedzali jarmarki i wspólnie cieszyli się z obchodzonych świąt. Ja i mój współtowarzysz podróży także

chcieliśmy ten czas spędzić jak należy. W Ławrze Peczerskiej zakupiliśmy ikonę Bożego Narodzenia, podzieliliśmy się prosforą, a na nabożeństwo udaliśmy się do soboru św. Włodzimierza. Gdy wyjeżdżaliśmy z Ukrainy już w pociągu powrotnym zastanawialiśmy się, gdzie spędzimy swoje kolejne prawosławne święta. I w tym miejscu muszę przyznać się do jednej z największych wpadek podróżniczych, jakie w życiu popełniliśmy. Planowanie kolejnego styczniowego wypadu było raczej dosyć krótkie – wyjazd na Białoruś czy do Rosji z oczywistych względów nie wchodził w grę, Gruzja i Armenia wydawała się zbyt daleko, a Cypr średnio nam się kojarzył z choinką i świątecznym klimatem. Co więc pozostało? Bałkany! W tamtym momencie najciekawsza wydawała nam się Rumunia, także nie myśląc za długo, kupiliśmy bezpośrednie bilety z Warszawy do Bukaresztu. Dopiero kilka miesięcy po tym fakcie doszło do nas... że Rumuni swoje święta obchodzą w tym samym terminie co katolicy. Oczywiście, nadal bardzo chcieliśmy zobaczyć ten kraj, ale dopiero co zapoczątkowana tradycja zakończyłaby się na jednym razie, do czego dopuścić nie mogliśmy. Na Bałkanach święta Bożego Narodzenia w styczniu obchodzą m.in. Serbowie, Czarnogórcy i Macedończycy. Nie chcieliśmy, aby w zamyśle stosunkowo tani wyjazd zrobił się nagle finansową studnią bez dna, dlatego wybraliśmy najbliższego sąsiada Rumunii, czyli Serbię. Ktoś może sobie pomyśleć, że mieliśmy nie po ko-



Świąteczne ognisko rozpalone przed cerkwią św. Sawy w Belgradzie

lei w głowie – lecieliśmy do Bukaresztu, by mniej więcej po tygodniu przenieść się do Serbii na kilka dni i wrócić znów do Rumunii na dalsze zwiedzanie. Realizacja całego tego, z pozoru karkołomnego, planu nie była aż tak droga, jak można by sądzić.

Świąteczny, styczniowy Belgrad nie zawiódł nas wcale. Pięknie przystrojone miasto, dobiegające zewsząd kolędy i piosenki świąteczne, kolorowe jarmarki kuszące klientów pachnącym jedzeniem i ciekawym rękodziełem. To, co trochę być może zaburzało tę idyllę, to kramy handlarzy z Rosji, którzy zachęcali do kupna magnesów z wizerunkiem Putina, czy innych propagandowych bibelotów. Jeśli już o agitacji mowa, to kłuły w oczy także reklamy i billboardy wykupione w centralnych miejscach Belgradu przez spółkę Gazprom. W swoim przekazie sugerowały one, że Rosję i Serbię wiąże odwieczna przyjaźń i braterstwo. Na pierwszy rzut oka wydawały się one dosyć niewinne, ale fakt, że zawisły akurat



W kolejce wiernych, aby swój własny zakupiony Badnjak wrzucić w płomień

w momencie trwającej inwazji na Ukrainę raczej nie jest bez znaczenia. Ale skończmy już te polityczne tematy i przejdźmy do prawosławnego Bożego Narodzenia. Serbowie świętują łącznie trzy dni, czyli od 7 do 9 stycznia. Na 6 stycznia przypada Badnji Dan, czyli Wigilia. Na nasz skromny świąteczny stół trafiła wtedy m.in. Česnica – niekwaszony chleb, którym Serbowie dzielą się podczas wieczery jak opłatkiem. W česnicy powinna znajdować się moneta symbolizująca dar, jakim jest narodzenie Zbawiciela. Szczęśliwiec, który podczas dzielenia się na nią natrafi, będzie miał rok pełen pomyślności. Ze względu na kameralną formę obchodzenia przez nas prawosławnej wigilii, zdecydowaliśmy się do naszej małej česnicy monety jednak nie wkładać. Rzutem na taśmę udało nam się kupić Sermę, czyli wigilijne serbskie danie, które przypomina trochę nasze gołąbki, tylko w wersji wegetariańskiej. Długo jej szukaliśmy, bo Serma przygotowywana jest najczę-



Nasz prawosławny, wigilijny stół i dwie ikony – większa rumuńska, mniejsza serbska

ściej w domu i trudno znaleźć ją jako gotowe danie do kupienia i podgrzania. Serbskie święta nie mogą odbyć się także bez wszechobecnego Badnjaka, czyli suszonych gałązek i liści dębu, do których czasem dołącza się różne zboża. Pełnią one bardzo ważną rolę w prawosławnej Serbii – symbolizują drewno, które pasterze przynieśli do stajenki, aby za jego pomocą ogrzać małego Chrystusa. Zwyczaj ten ma mieć swoje korzenie jeszcze w czasach prastłowiańskich, a według tradycji, to głowa rodziny wraz ze swoimi synami powinna wybrać się do lasu i własnoręcznie zebrać potrzebne gałęzie. Obecnie, Badnjak bierze się ze sobą do cerkwi, gdzie kapłan rozpala wielkie ognisko, a tłumy wiernych wrzucają w płomienie swoje dębowe gałązki. Ogień podczas tej uroczystości ma symbolizować oczyszczenie duchowe oraz oświecenie. Sami mieliśmy okazję brać udział w tej celebracji, zorganizowanej przed cerkwią świętego Sawy w Belgradzie. Tłum wiernych był niemiłosierny,



Serbski Badnjak jako „nasza choinka”

ny, ale wszyscy grzecznie czekali na swoją kolej, aby wrzucić wcześniej kupione lub przygotowane gałązki w środek ogromnego ogniska. Badnjaki w Serbii widoczne są dosłownie wszędzie. Można kupić je tak w marketach, jak i od ulicznych handlarzy, a poza tym trzeba wspomnieć, że np. w prawosławnych świątyniach pełnią rolę naszej choinki. W świątyniach są one często przystrojone bombkami, czy kolorowymi lampkami, ale przyznam szczerze, że jak dla mnie, kiepsko taka ozdoba wygląda na wysuszonych gałęziach. Oczywiście, nie ma prawosławnych świąt Bożego Narodzenia bez odpowiedniej ikony przedstawiającej narodziny Chrystusa. Tym razem na naszym stole pojawiły się dwie – większa zakupiona w cerkwi Sfântul Gheorghe Nou w Bukareszcie i druga, mniejsza – nabyta w cerkwi św. Sawy w Belgradzie.

Urszula ŁUKOMSKA

Muzy, modelki, żony, kochanki – kobiety ze znanych obrazów

Część 3

Wiele lat temu w krakowskich Sukiennicach byłam świadkiem sceny, która na długo utkwiała mi w pamięci. W pustej jeszcze sali z malarstwem przełomu wieków siedział na muzealnej ławeczce bardzo wiekowy pan i z zachwytem wpatry-

wał się w obraz. Był to znany portret Heleny Modrzejewskiej, gwiazdy sceny polskiej XIX wieku, w pięknej białej sukni ze wspinałymi haftami, namalowany przez Tadeusza Ajdukiewicza w 1880 r. Malarz, dziś prawie zapomnia-



Helena Modrzejewska jako Ofelia

ny, ponad 100 lat temu był „wziętym” artystą, malarzem socjety i koronowanych głów. Po studiach w Krakowie i Monachium wiele podróżował po świecie, był na różnych dworach, w tym całkiem egzotycznych np. w Stambule. W Bukareszcie został malarzem króla Karola I, w Londynie portretował syna królowej Wiktorii, późniejszego Edwarda VII, a w Wiedniu zastąpił Hansa Makarta, nadwornego malarza Habsburgów. Zawsze dobrze mu się powodziło jako artyście wywodzącemu się z kresowej szlachty z pokąźnym majątkiem ziemskim, więc odbiegał daleko od wizerunku cierpiącego nędzę twórcy. Zawsze czuł się Polakiem. Jako ponad 50-letni mężczyzna dołączył do Legionów Piłsudskiego, ale na skutek trudów wojennych i choroby zmarł w szpitalu w Krakowie 9 stycznia 1916 r. Jego obrazy w różnych częściach świata nie są powszechnie znane, poza wspomnianym portretem Heleny, o cechach obrazu reprezentacyjnego.

Poznali się na balu w Sukiennicach. Ona była już znaną aktorką, mieszkała w USA, ale często przyjeżdżała do swojej wille w Zakopanem i do Krakowa. Na owym balu powstał projekt założenia Muzeum Narodowego w Sukiennicach, a malarz postanowił, za zgodą modelki, namalować jej portret dla tej instytucji, wielokrotnie później powielany i reprodukowany. Artysta przedstawił aktorkę na tle ciemnego gobelinu, w białej atlasowej sukni, trzymającą w jednej ręce książkę, drugą podtrzymującą tren sukni. Towarzyszy jej pies, dog duński, wpatrujący się w panią, czyli motyw zaczerpnięty z wielu historycznych obrazów. Czarująca kobieta o doskonałej figurze i wielkich ciemnych oczach robi wrażenie uduchowionej doskonałości, ale w realu było nieco inaczej. Na świat przyszła w październiku 1840 r. jako nieślubne dziecko pewnej bezpruderyjnej wdowy o rzekomo węgierskich korzeniach, ale zdobywszy aktorską sławę przyznawała się do ojca arystokraty, księcia Władysława Sanguszki, po którym miała odziedziczyć dumną postawę, dystynkcję i maniery, co pozwoliło na akceptację socjety. Ponoć była bardzo podobna do jego córki, również Heleny. Miała kilku przyrodnych braci, wszystkich o talentach artystycznych. Edukację zaczęła u zakonnic, ale po pożarze rodzinnej kamienicy musiała zacząć pracować. Matka zakupiła małą kawiarnię i Helena została kelnerką. Jej starszy



Tadeusz Ajdukiewicz – Portret Heleny Modrzejewskiej – fragment obrazu

brat Feliks był początkującym krakowskim aktorem i poznał ją z kolegą, Gustawem Zimajem, który poza licznymi nielegalnymi zajęciami, parał się tym zawodem i miał przygotować Helenę i jej siostrę Zofię do ról w teatrze. Ów starszy o 15 lat hochsztapler został najpierw kochankiem matki, a później córki, która mając 20 lat zaszła w ciążę. Skandal wisiał w powietrzu, bo mężczyzna był żonaty. Młoda matka urodziła syna, Rudolfa w Bośni, dokąd udała się z partnerem, by po rozwiązaniu zagrać pierwszą rolę w tamtejszym teatrze, prowadzonym przez przyjaciela kochanka, Konstantego Łobojkę. To on wymyślił dla pary nazwisko Modrzejewscy, by nie narażać ich na represje galicyjskiej, pruderyjnej widowni. W 1865 r. wróciła do Krakowa i wkrótce dostała rolę w dramacie *Salomon* Wacława Szymanowskiego. Z zespołem wyjeżdżała na gościnne występy do wielu dużych miast, między innymi Poznania i wkrótce zaczęło być o niej głośno. Zyskała status pierwszej gwiazdy podwawelskiego grodu,

w krótkim czasie grając w 100 premierach. Podziwiano jej fizyczną sprawność, melodyjny głos i fascynującą urodę. Aktorka miała doskonały gust i dbała o atrakcyjność swych scenicznych strojów, toteż grono jej męskich wielbicieli stale się powiększało, ale ona oddała serce jednemu. Był nim wielkopolski arystokrata – Karol Bozanta Chłapowski, bratanek słynnego generała napoleońskiego. Formalnie nie był hrabią, ale lubił gdy się tak do niego zwracano. Zakochał się w Helenie od pierwszego wejrzenia, oglądając ją w poznańskim teatrze i wkrótce się oświadczył. Arystokratyczna rodzina utrudniała im życie, nie mogąc zaakceptować wyboru Karola. Po pokonaniu wielu przeszkód i zawarciu umów dotyczących ich zachowania w życiu publicznym, spasowała. Helena nadal używała swego scenicznego nazwiska i występowała. 12 września 1868 r., po ślubie w krakowskim kościele św. Anny, już jako pani Chłapowska weszła na salony. Szlacheckie nazwisko męża nie szło w parze z majątkiem. Mąż musiał pracować. Był redaktorem dzienników krakowskich i warszawskich, tłumaczył na polski sztuki zachodnich autorów np. *Norę* Ibsena. Helena z łatwością przeistoczyła się w wielką damę. W Warszawie zagrała w wielu spektaklach szekspirowskich, wcielając się 95 razy w postaci wymyślone przez genialnego Anglika. Zaczęto ją porównywać z Sarah Bernhardt, największą wówczas światową gwiazdą, która gościnnie zagrała w naszej stolicy.

W każdy wtorek, w salonie państwa Chłapowskich przy ul. Miodowej, odbywały się spotkania warszawskich intelektualistów i artystów, z udziałem m.in. Gierymskiego, Chelmońskiego, Sienkiewicza, Witkiewicza i wielu innych. Aktorka często udzielała im finansowego wsparcia, ale jej prywatne życie wystawiane było na obmowę i plotki, a ilość domniemyanych kochanków rosła. Zmęczona postanowiła wyjechać do Stanów Zjednoczonych. Mąż jej miał wizję założenia komuny artystycznej na zakupionej farmie pod San Francisco, ale ta utopijna koncepcja w surowych warunkach zupełnie się nie sprawdziła. Helena postanowiła wrócić do zawodu i po kilku miesiącach nauki angielskiego zagrała w stolicy Kalifornii. „Odmłodziła” się o 6 lat, syna przedstawiła jako młodszego brata, tytułując się „Hrabina Bodzenta”. Spektakl okazał się sukcesem, publiczność wiato-

wała, a Helena zmieniła nazwisko na Modjeska, łatwiejsze do wymówienia Amerykanom. I ruszyła w trasę jako „Ofelia wszechczasów”. Początkowo tylko w Kalifornii, później w kolejnych 15 miastach, w tym w Nowym Jorku, grając zawsze przy pełnej widowni. Świadkiem sukcesów był Henryk Sienkiewicz, bawiący wtedy za oceanem, część trasy przejechał nawet za gwiazdą, przesyłając reportaże do polskich gazet. Helena utrzymywała wówczas farmę męża, którego ogrom pracy przytłoczył, a nie potrafił znaleźć rozwiązania przynoszącego korzyści finansowe. Sama zainwestowała w Polskę, budując dwa domy, w Zakopanem i Krakowie. Często przyjeżdżała, zamierzała wrócić. Do Witkiewicza pisała: „Gdy zrealizuję te projekty, powrócę jednak do mego starego kraju, by zdziałać coś dobrego dla mego narodu, ponieważ dotąd nic nie uczyniłam, zajęta pracą aktorską”. W Zakopanem poznała młodego Paderewskiego, któremu pomogła w karierze, występując na jego koncercie. W stolicy Tatr założyła szkołę koronkarską, która przetrwała 100 lat. Proponowano jej dyktowanie krakowskiemu i poznańskiemu teatrowi, a także utworzenie szkoły teatralnej, ale się nie zgodziła mówiąc: „Mój dom jest tam, gdzie dziecko moje”, cytując jedną z bohaterek scenicznych. Rudolf zmienił nazwisko na Ralf Modjeski, zapowiadał się na dobrego pianistę, ale ostatecznie skończył studia politechniczne i został inżynierem. Był specjalistą od linii kolejowych i mostów, których zbudował ponad 40, na wielkich rzekach USA, gdzie pozostał na stałe. Helena występowała prawie do końca swych dni, działała też charytatywnie. W maju 1903 r. na Międzynarodowym Kongresie Kobiet w Chicago wystąpiła potępiając rządy carskie w zaborze rosyjskim, bo w pozostałych zaborach występowała gościnnie. Zmarła na „uwiąd nerek” 5 kwietnia 1909 r., a jej ciało zgodnie z życzeniem przewieziono do Polski i pochowano obok matki na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Należy żałować, że w czasach gdy żyła i grała, nie było możliwości zapisu jej dokonań, choć niewątpliwie dziś zaskakiwałaby nas „gra w wielkim stylu”, jak wtedy mawiano, pełna patosu i deklamacji. Miło, że możemy chociaż podziwiać jej urodę w zaciszu sali muzealnej krakowskich Sukiennic i wyobrażać sobie jak doskonała była za życia.

Katarzyna GRZEGORCZYK

Poza schematem

Okiem belfra...

Szkola to specyficzny mikroświat. W założeniach ma kształcić, wychowywać, rozwijać. Nie jest jednak fabryką, w której proces produkcji można od początku do końca zaplanować. I choć czasem praca nauczyciela wydaje się powtarzalna, niczym czynności przy taśmie produkcyjnej, to jednak tylko pozory. Materiałem i tworzywem jest bowiem istota ludzka. W tryby szkolnej maszyny trafiają młode charaktery. To nad nimi pochylają się „fabrykanci umysłów”, by osiągnąć jak najlepszy efekt. Czy to znaczy, że szkoła jest z założenia zła? Że stała się ucieleśnieniem gombrowiczowskiej groteski? Zdecydowanie – nie! Szkoła to miejsce, które może i często jest kreatywne. To właśnie tu młody człowiek uczy się po prostu być człowiekiem – częścią mniejszych i większych społeczności. Ćwiczy wchodzenie w relacje, osiąganie celów, odkrywanie pasji. Przy wszystkich swych wadach i niedostatkach szkoła jest miejscem, do którego powinno trafić każde dziecko. Ale... są tacy uczniowie, którzy „nie pasują do schematu”. Nie odnajdują się w miejscach, które zmuszają do działania według sztywnych reguł. Co z nimi? Mają zostać w domowym zaciszu, bo świat nie jest gotowy na nich i ich wrażliwość? A może posłuchać tych wyjątkowych uczniów?

Ania: „Boli mnie, gdy jest wokół mnie tłum. Odczuwam fizyczny dyskomfort, gdy ktoś dotknie mojego ramienia lub otrze się o mnie na szkolnym korytarzu. Nie lubię siadać w jednej ławce z innym uczniem i dzielić przestrzeń szkolnego blatu z kimś, kto nie jest mi bliski. Nie potrafię skupić się na tym, co mówi nauczyciel, gdy czuję fizyczną obecność kolegi”.

Tomek: „Przeszkadza mi hałas, gdy w klasie ponad trzydzieści osób chce zabrać głos, wyciąga długopisy z piórnika lub przekłada kartki w zeszytach. Każdy z tych dźwięków wdziera się do mojej głowy i nie ma już miejsca na to, co mówi nauczyciel”.

Krzysiek: „Nie lubię patrzeć w oczy mego rozmówcy. Chętnie słucham tego, co mówi, ale nie

potrafię okazać mojego zainteresowania. Wolę wtedy rysować wzory na marginesie zeszytu lub rozkręcać długopis. Ale naprawdę słucham i słyszę”.

Magda: „Kocham historię! Z łatwością zapamiętuję daty, nazwiska, wydarzenia. Świetnie łączę fakty i mogę rozmawiać godzinami o kolejnych królach Polski. Ale nie interesuje mnie chemia i fizyka. Nie zapamiętuję nic z lekcji. Każde spotkanie z nauczycielem to dla mnie nowe poznanie tego, co inni w klasie już wiedzą”.

Zosia: „Nie jestem w stanie przyjść do szkoły i dobrać funkcjonować o ósmej rano. Jestem rozdrażniona i niespokojna, nie potrafię skupić się na żadnej porannej lekcji. Mój mózg wchodzi na obroty o dziesiątej i wtedy z łatwością przyswajam wiedzę”.

Grzegorz: „Nie umiem zapanować nad emocjami. Gdy ktoś przerywa mi wypowiedź, popędza lub śmieje się ze mnie, reaguję gniewem, a gniew potrafię okazać tylko agresją. Gdy nie chcę krzywdzić innych, kieruje ją przeciwko samemu sobie”. Ola: „Boję się lekcji wychowania fizycznego. Nie potrafię wykonywać kilku ruchów jednocześnie. Czasem mam wrażenie, że moje ręce i nogi należą do kogoś innego. Na w-f jestem ostatnią niezdara. Nikt nie chce wybierać mnie do swojej drużyny, zawsze zostaję ostatnia, gdy kapitanowie kompletują zespoły. Koledzy śmieją się, gdy nie potrafię zrobić przewrotu na materacu, a nikt nie pamięta, że maluję najlepiej w całej klasie”.

Franek, Janek, Basia... tych wyznań mogłoby być tu zdecydowanie więcej. Ciche głosy, które nigdy nie krzykną w swej obronie. W każdej klasie widzimy ucznia, który przez kilka kolejnych lat siada sam w ławce, nikt z nim nie rozmawia podczas przerwy, nikt nie zapyta, czy w czymś mu pomóc. W każdej klasie widzimy ucznia, który hałaśliwie domaga się uwagi, stuka długopisem, ciągle zmienia pozycję na krześle. W każdej klasie jest mały geniusz, który nie zdradzi nam swych talentów, bo nie mamy czasu, by go wysłuchać. Taki schemat...



Wieści z ratusza

100 000 zł na wypoczynek letni dla dzieci i młodzieży ze środków gminy Śrem.

14 kwietnia br. w Urzędzie Miejskim w Śremie odbyło się podpisanie umów na realizację ofert w ramach otwartego konkursu ofert na realizację zadania publicznego: *Organizacja wypoczynku letniego dla dzieci i młodzieży, w szczególności z grupy ryzyka*. Dofinansowaniem objętych zostanie 300 dzieci z terenu gminy Śrem.

Zadanie realizować będzie siedem organizacji pozarządowych. Gmina przeznaczy na ten cel 100 000 zł. Środki finansowe otrzymają:

- Związek Harcerstwa Polskiego Chorągiew Wielkopolska Hufiec Śrem – 20 000 zł
- Śremski Klub Sportowy WARTA – 20 000 zł
- Klub Sportowy RAPID Śrem – 14 000 zł
- Miejsko-Powiatowy WOPR w Śremie – 10 000 zł
- Śremski Klub Bokserski WARTA – 10 000 zł
- Stowarzyszenie Miłośników Sztuk Walki LEO – 16 000 zł
- Uczniowski Klub Sportowy Śrem – 10 000 zł

Delegacja z Maffliers w Śremie

W dniach 14-18.04.2023 r. na zaproszenie Burmistrza Śremu pięciorosobowa delegacja z miasta partnerskiego Maffliers z Francji gościła w Śremie. W związku z tym, że przedstawiciele samorządu z Francji duży nacisk kładą na ekologię i ochronę środowiska, celem wizyty było przedstawienie rozwiązań w tym zakresie, które praktykowane są w gminie Śrem. Gościom pokazano tereny zielone, parki, śremską plażę, Stadion Miejski w Śremie, Łęgi Mechlińskie jako największy rezerwat przyrody Śremu, tereny wiejskie w Zbrudzewie oraz zorganizowano spotkanie w Kole Gospodyń Wiejskich w Wyrcze.

Jednym z przedstawicieli miasta Maffliers była z-ca Burmistrza Pani Magali Mazurier, która odpowiedzialna jest za sprawy oświaty i edukacji w swoim regionie. W związku z tym delegacja miała okazję poznać działalność oświatową w naszej gminie. Delegacji zaprezentowano działalność Szkoły Podstawowej w Dąbrowie,

BUDŻET OBYWATELSKI ŚREM

Zgłoś swój projekt
od 1 do 30 czerwca 2023 r.

1 MILION ZŁOTYCH

CZeka na Twój pomysŁ!

500 000 zł
NA PROJEKTY OGÓLNOGMINNE

250 000 zł
NA PROJEKTY LOKALNE WIEJSKIE

250 000 zł
NA PROJEKTY LOKALNE MIEJSKIE

Zgłoszenia na platformie budzetobywatelski.srem.pl



Szkoły Podstawowej Nr 5 w Śremie oraz Przed-szkola Nr 7 „Janka Wędrowniczka” w Śremie. Podczas wizyty w Szkole Podstawowej w Dą-browie, Burmistrz Śremu wyszedł z propozycją podjęcia współpracy ze Szkołą Podstawową z Maffliers. Początkowo uczniowie będą mieli realizować projekty nt. ochrony środowiska i ekologii on-line, następnie, jeżeli współpraca się rozwinie to zostanie zorganizowana wymiana uczniów w trybie stacjonarnym. Nie pozostaje nic innego jak tylko czekać na rezultaty współ-pracy między szkołami.

Rowerowa Stolica Polski 2023. Będzie można kręcić kilometry dla Śremu

Gmina Śrem dołączyła do rywalizacji o tytuł najbardziej rowerowego miasta w Polsce. Konkurs dla aktywnych, który ma w tym roku swoją piątą edycję, rusza 1 czerwca, ale sprawdzić się można wcześniej, bo właśnie trwa trening Rowerowej Stolicy Polski 2023.

ROWEROWA STOLICA POLSKI

TRENING 2023

21 MARCA – 21 MAJA

Organizator: **BYDGOSZCZ**

Sponsor strategiczny: **Centrum**

Partner: **UNIA METROPOLI POLSKICH**, **ZWIĄZEK MIAST POLSKICH**

Patronat medyczny: **RZECZPOSPOLITA**, **IPSKA**, **onet**, **medonet**, **NOZZ**



1 czerwca rozpocznie się oficjalna rywalizacja o Puchar Rowerowej Stolicy Polski. W rywalizacji może wziąć udział każdy. Bez względu na to, czy na rowerową wyprawę wybierasz się rekreacyjnie raz w tygodniu, czy też codziennie pokonujesz większy dystans np. dojeżdżając do szkoły czy pracy. Aby dołączyć do treningu należy pobrać na telefon aplikację *Aktywne Miasta* – aplikacja jest bezpłatna. Po założeniu konta trzeba dołączyć do rywalizacji. W tym celu z dolnego menu wybierz *Rywalizacje*, następnie w zakładce *Ogólne* – Trening Rowerowej Stolicy Polski dla Gmin. Aby dołączyć do rywalizacji, z listy rozwijanej wybierz miasto ŚREM, dla którego będziesz kręcić kilometry. W kolejnym kroku wybierz grupę z listy (np. ogólną) lub zaproponuj nową grupę i razem z przyjaciółmi weźcie udział w zabawie! Przed każdą rowerową podróżą włączysz aplikację, która zmierzy pokonany przez Ciebie dystans

Dzięki udziałowi w akcji, chcemy zwiększyć aktywność fizyczną mieszkańców. Chcemy zachęcić, do tego, by częściej pozostawić samochód na parkingu, zrobić coś dla siebie i swojego otoczenia. Pokazać, że rower jako środek transportu jest bezpieczny. Zachęcić do korzystania zarówno z własnego sprzętu, jak i rowerów miejskich. A przecież nic nie mobilizuje do działania bardziej niż zdrowa, sportowa rywalizacja. Dodatkowo dla najbardziej aktywnych mieszkańców Śremu, którzy uzyskają naj-

większą liczbę kilometrów, przewidziane są indywidualne upominki. Dzięki temu rywalizacja będzie odbywała się na trzech płaszczyznach: zarówno pomiędzy miastami i mieszkańcami.

Budżet Obywatelski Śremu 2024

Burmistrz Śremu informuje o uruchomieniu nowej edycji Budżetu Obywatelskiego Śremu w 2023 roku. Pula środków na Budżet Obywatelski Śremu 2024 wyniesie 1 000 000 zł.

Środki finansowe zostaną podzielone na trzy kategorie:

projekty ogólnogminne – 500 000 zł

projekty lokalne miejskie – 250 000 zł

projekty lokalne wiejskie – 250 000 zł

Konsultacje będą prowadzone elektronicznie na stronie budzetobywatelski.srem.pl, zgodnie z przedstawionym harmonogramem:

1. Składanie projektów do Budżetu Obywatelskiego: od 1 do 30 czerwca
2. Weryfikacja złożonych projektów: od 1 lipca do 11 sierpnia
3. Publikacja zgłoszonych projektów na platformie budżetu obywatelskiego: lipiec–sierpień
4. Procedura odwoławcza, w międzyczasie promocja projektów: od 12 do 18 sierpnia
5. Głosowanie: od 15 do 24 września
6. Ogłoszenie wyników: 25 września
7. Realizacja wybranych projektów: 2024 rok

Więcej informacji na stronie internetowej:
budzetobywatelski.srem.pl



Piotr BARŁÓG

Symulakry

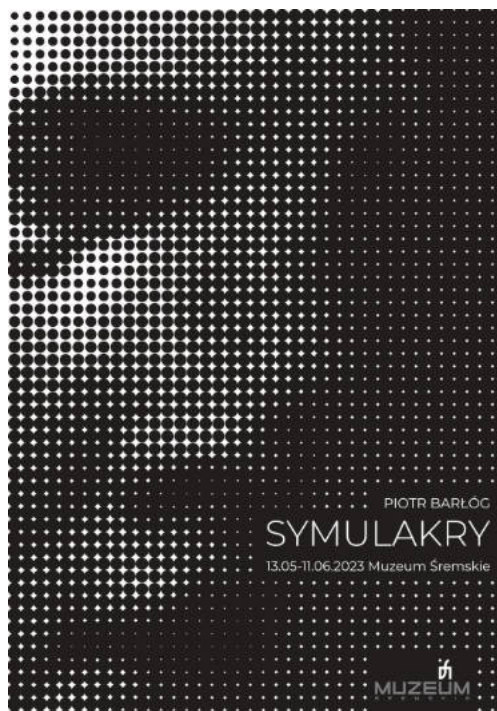
Wystawa w Muzeum Śremskim, 13.05–11.06.2023

Punkt jest najprostszym znakiem graficznym. Zbiór punktów tworzy nie tylko kompozycję, ale przede wszystkim informację zakodowaną w grafice. Z kolei grafikę jako przestrzeń dwuwymiarową, postrzegamy jako jej pełnowartościowe, trójwymiarowe rozwinięcie. Tę czysto fizjologiczną percepcję, potrafimy dodatkowo wzbogacić o znany nam system kulturowych znaczeń, co leży u podstaw komunikacji. Dostrzegamy narrację w abstrakcji, ale także abstrakcję w narracji.

Wyjaśnienie pojęcia symulaków nie jest łatwe, można jedynie do niego zachęcać, odżegnując się tym samym od udzielania powierzchownych i zapewne błędnych odpowiedzi. Ja sam dotarłem do tego terminu zupełnie nieoczekiwanie – poszukując znaczenia znaku w plastyce. W jakim stopniu odwzorowanie rzeczywistości staje się jej uproszczonym kodem? Czy podmiotowy jest sam znak, czy też informacja w nim zawarta? A może raczej tylko jej reprezentacja? Czy rodzi to dewaluację pojęć, czy też przeciwnie – stawia zupełnie nowe pytania i wyzwania?

W relacjach między grafiką a przestrzenią można dostrzec pewne analogie do tych pomiędzy rzeczywistością fizyczną i metafizyczną. Ich obecność w sztuce była i jest wyrazem oswajania z nieznanym, próbą powiązania sfery profanum z sacrum, świadomości z podświadomością – sposobem budowania i wyrażania archetypów. Motywy figuratywne nadal uczestniczą w tym procesie, mimo że uważamy to dziś za swego rodzaju anachronizm – projekcję naszych antropocentrycznych rojeń.

Jak rozumiemy dziś sens wizerunku w kontekście jego wielokrotnej reprodukcji, która na dobre zmieniła dotychczasowe pojmowanie kopii? Jaki jest faktyczny związek figury z formą? Czy byty te stają się ze sobą tożsame, czy też trwają zgoła niezależnie we wzajemnej opozycji? Czy pamięć przestrzeni i jej odczucia wiążemy w jakiś sposób z figurą, jako naturalnym punktem wszelkiego odniesienia? Czy rzeczywiście możemy wyzwolić się z tej pierwotnej perspektywy?



maj | czerwiec 2023


MUZEUM
Ś R E M S K I E

63-100Śrem
ul. A. Mickiewicza 89
tel/fax: 61 28 35 938
www.muzeum.srem.pl
e-mail: muzeum@srem.pl

KONCERT

Z Chórem Moniuszko

DOOKOŁA ŚWIATA



MUZEUM ŚREMSKIE | 21.05.2023 | G. 17.00

BEZPŁATNE ZAPROSZENIA I REZERWACJE W KASIE MUZEUM, TEL. 61 28 35 938, 668 847 130

Jato w **MUZEUM** S R E M S K I E



Muzeum od kuchni
czyli kulinarne podróże dookoła świata

1 turnus: 26-30 czerwca 2023

2 turnus: 21-25 sierpnia 2023

Zapraszamy dzieci w wieku 7-12 lat

Zapisy w Muzeum Śremskim
tel: 61 28 35 938 / 607 755 207
katarzyna.tomczak@muzeum.srem.pl

maj | czerwiec 2023



63-100 Śrem
ul. A. Mickiewicza 77
tel: 612835904, fax: 612810081
www.sok-srem.pl
e-mail: biuro@sok-srem.pl

ŚREMSKI OŚRODEK KULTURY ZAPRASZA NA KONCERT

ROBERT KASPRZYCKI BAND



28.05.2023

GODZ. 17:00 | SALA KONCERTOWA KCEK | STASZICA 1

BILETY I | SEKTOR – 80 zł | II SEKTOR – 70 zł | III SEKTOR – 60 zł

BILETY DO NABYCIA | BOK ŚOK | KASA KINOTEATRU SŁONKO | SERWIS **Bilety24**

WYDARZENIE DOFINANSOWANE Z BUDŻETU GMINY ŚREM

ORGANIZATOR:



PARTNERZY:



 śremski ośrodek kultury

pasjonaci

OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA
Spotkanie LXXVI

25.05.2023 godz. 17:00

TOM JONES



W PROGRAMIE M.I.N.

- białe kruki czarnych krążków
- materiały archiwalne
- kawa/herbata, ciasto

Zapraszamy do KINOTEATRU SŁONKO
wstęp: 10 zł/osobę

Prowadzący: ZBIGNIEW HOPPE

BILETY DO NABYCIA W ŚREMSKIM OŚRODKU KULTURY, W KASIE KINOTEATRU SŁONKO LUB PRZEZ SERWIS [BILETY24.PL](https://bilety24.pl)

21 marca, w pierwszym dniu kalendarzowej wiosny, przypada Światowy Dzień Poezji. W ramach czytelniczego happeningu bibliotekarze odwiedzili dzisiaj szkoły średnie, zachęcali młodzież do czytania poezji i korzystania z szerokiej oferty biblioteki. Była to też okazja do uczczenia Roku Wisławy Szymborskiej. Czytajcie poezję nie tylko w dniu jej święta.

Światowy Dzień Poezji



Co roku 2 kwietnia, w dzień urodzin duńskiego baśniopisarza Hansa Christiana Andersena, obchodzony jest Międzynarodowy Dzień Książek dla Dzieci. Dzień ten ma na celu rozpowszechnianie literatury dziecięcej oraz wspieranie czytania przez najmłodszych. My ten ważny dzień świętowaliśmy razem z dziećmi w naszej bibliotece. Przenieśliśmy się w baśniowy świat Calineczki, przeszliśmy przez magiczny las i dotarliśmy do bajkowych domów. Dziękujemy wszystkim za zaangażowanie i wspólną zabawę oraz Tfp Grafika za wsparcie działań warsztatowych przekazanymi materiałami.





Stare drzewo nad Wartą w Śremie, rys. Tomasz Mazurczak

Gazeta Śremska
siedziba redakcji – Muzeum Śremskie
63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
tel: 61 2835938, kom: 533 875 030
gazeta@muzeum.srem.pl
www.muzeum.srem.pl

Wydawca:
Muzeum Śremskie; 63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń
i reklam oraz zmiany programów i terminów
wprowadzone po oddaniu numeru do druku.

Redagują:
Mariusz KONDZIELA (redaktor naczelny)
Ewa NOWAK (redaktor prowadząca)
Katarzyna TOMCZAK (korekta)

Na okładce:
I i IV fot. Piotr Pieczykołan

Skład:
Wiktoria BUKOWY

Druk:
www.intro-skiba.pl



Ul. Stefana Wyszyńskiego 16

Imponująca kamienica powstała na początku XX wieku. Dwupiętrowy budynek z użytkowym poddaszem w mansardowym dachu, posiada ciekawą fasadę od strony rzeki, duże balkony z tralkowymi balustradami, z których rozciąga się przepiękny widok na lewobrzeżną część miasta. Mieścił się tam reprezentacyjny hotel „Brosius”. W 1918 roku kamienicę (po Borowiczach) kupił Edmund Hein, członek poznańskiej izby handlowej. W latach 20. na parterze mieściła się kawiarnia „Polonia”, której właścicielem był J. Borowiak. Kamienica przestała być hotelem po 1945 roku. Jej wnętrza przeznaczono na mieszkania, a parter na cele handlowe



Fot ze zbiorów MŚ



Fot. P. Pieczykolan, 2023

